POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 10-go maja 1941r.*** **Rok III. Nr. 19**

Konsekwencja rządzi światem

Cały dotychczasowy bieg wojny i każdy bieżący dzień przekonują nas niezbicie o odwiecznej prawdzie, że światem rządzi konsekwencja. Polityka—obok innych określeń—może zasłużyć na miano: sztuki przewidywania konsekwencji. Prawda ta jest niewątpliwie banałem. Historia od wieków daje jej świadectwo. Chociaż w szkołach wszelkich stopni i kategorii wkuwają w młode głowy przyszłych polityków tę "nauczycielkę życia" z wielką starannością—z równą starannością jest ona nieprzestrzegana. Może gra tu rolę brak wyobraźni. Lecz, w tym wypadku dziwne byłyby przyczyny tak katastrofalnie nieprzewidującej polityki polskiej. Może to jest zwykłe tchórzostwo, lęk przed problemem zbyt niebezpiecznym, niszczącym starannie wyimaginowany spokój; po prostu strusia polityka chowania głowy w piasek.

To ostatnie określenie trafnie charakteryzuje politykę zagraniczną w Europie w latach ostatnich. W Polsce tą wytyczną kierowali się nietylko politycy, ale—co najgorsze—szeroka opinia.

Ostatnie wypadki militarne i polityczne zwróciły uwagę publiczną na Japonię, Hiszpanię, jawnych lub cichych partnerów Rzeszy. Powoli ludzie zaczynają sobie uświadamiać pozorny paradoks, że "wrzesień" zaczął się na rozległych polach Mandżurii, że wyrok na Francję podpisał Laval rozbijając blokadę Włoch, że bitwa o Madryt była bitwą o Warszawę i Londyn. Druga wojna—słuszniej od poprzedniej światową zwana—zaczęła się na lata całe przed 1 wrześniem 1939 r. i nim przyszło do kampanii polskiej—miała kampanię chińską, etiopską, hiszpańską i albańską.

Wojnę tę zaczęły narody, które wcześniej, niż Niemcy poczuły w sobie nadmiar zbrodniczej energii, poczuły się głodne i pokrzywdzone, nazwały się ni z tego ni z owego narodami młodymi; domagały się dla swych młodzieńczych dążeń zadośćuczynienia. (Przymiotnik "młodzi" dla Niemców, Włochów, powołujących się na swych rzymskich protoplastów, i Japończyków wygląda wręcz komicznie; jest to prawdopodobnie ta dziwna młodość, poprzedzająca na ogół paraliż starczy. Młodość najniebezpieczniejsza!)

Pierwsza wybuchła wojna chińska. Trwa do dziś dnia. Chiny bronią się co raz lepiej. Wojna w Azji jest dziś bardziej odległa od końca, niż była na początku. Głównie dlatego, że Europa poczuła wagę sprawy chińskiej, zrozumiawszy na nowo odwieczną prawdę; że przyjaciele naszych wrogów są naszymi wrogami, a w każdym razie trudno ich zaliczyć do przyjaciół. Niesłychanie złożona gospodarczo i politycznie maszyneria aktualnej wojny uczyniła ją wręcz niemożliwą dla jednego państwa. Strony walczące szukają gwałtownie oparcia. Jedna znajduje je w Waszyngtonie, druga—w Tokio. Świat dąży do co raz ściślejszego łączenia mniejszych części w jak największe całości.

To jest linia rozwoju dziejowego, którego jestemy świadkami. Nieznana droga w Burmie jest dla Londyńczyka dziś równie ważna, jak Piccadilly. Całe nieszczęście, że ważną stała mu się niedawno. Pięć lat temu wolał o niej nie myśleć. Niejeden Polak zachwycał się nawet prężnością narodu japońskiego, zapominając o tym, że Japończyk, który podbił Mandżurię, zrozumie i pochwali Niemca, który podbił Polskę. Podobieństwa duchowe stają się łatwo motorem zgodnych działań. Chiny nie interesowały Europy. Ufała odległości, liczonej w bezwzględnych wartościach kilometrów. Nie chciała myśleć o ostrym, jednolitym i bezwzględnym ukaraniu Japonii, przez rzucenie wszystkich sił na pomoc ofiarze inwazji.

Postępowanie Ligi Narodów, dokładnie odzwierciedlające wolę ludów europejskich, ośmieliło Mussoliniego. Wojna przybliżyła się o kilkaset kilometrów do kontynentu.

Sprawa Abisynii wygląda nieco inaczej, choć Europa powodowała się tą samą zasadą: chowania głowy pod poduszkę w obawie przed prawdą. Woleliśmy nie myśleć, bo jasne było, że operacje rozumowe przywiodą nas nieuchronnie do wniosku, że wojna abisyńska jest próbą nerwów Europejczyków, że jest wstępem do akcji militarnie korygującej "niesprawiedliwości" Wersalu. Sam Mussolini nie przypuszczał zapewne, że pracuje dla kogoś trzeciego.

W sprawie chińskiej zadecydowała nieświadomość, tu—wyraźny oportunizm u jednych, u drugich—w których skromnym szeregu znalazła się część Polaków—sympatie ideowe, u nas połączone z zachwytem dla prężnej siły "naszego włoskiego przyjaciela." Dzieliliśmy faszyzmy na bliskie i dalekie, groźne dla nas i bezpieczne, zapominając, że każdy faszyzm jakąkolwiek zakamuflowany nazwą, jest niebezpiecznym płomieniem, gotowym podpalić i nasz dom. Pamiętamy bzdurne reportaże Marka Romańskiego i Romana Fajansa z imperialnej wyprawy Mussoliniego. Sprawiedliwość każe przyznać, że ogromna większość Polaków stała po stronie okrutnie napadniętej Abisynii, idąc za głosem serca i wspaniały sprint ministra Becka na mecie blokady nie przysporzył mu entuzjastów.

Opinia europejska kierowała się też tylko sentymentem, nie chciała myśleć politycznie. Sentyment łatwo zawiera pakt z oportunizmem. Większość ludzi bała się, że z powodu tak odległej Abisynii w Europie może wybuchnąć wojna. Blokadę zlikwidowano z ulgą. Niewiele pomogło. Wojna zaczęła się dawno. To była już jej druga kampania.

Uważny obserwator Hitler pewny był, że poszczególne narody zamkną oczy nawet na gwałt na własnym kontynencie. Byleby czas pewien mieć chwilę spokoju. Nie omylił się. Hitler nigdy by się nie zdecydował na zabory i wojnę, gdyby widział zdecydowaną reakcję Europy na wyczyn Mussoliniego, gdyby mocarstwa zachodu doprowadziły do klęski Włoch w Abisynii, do wywrócenia się—w konsekwencji—dyktatora.

Aneksja Austrii przeszła bez należytej reakcji. W Polsce na gwałt odwrócono sprawą Litwy uwagę publiczną od wydarzenia nader dla nas ważnego: łączyło ono wspólną granicą Niemcy—naszego wroga—z pokrewnymi ideowo Włochami, powiększało potencjał ludnościowy Niemiec, oskrzydlało Czechosłowację, której istnienie gwarantowało nam dogodne położenie naszego Śląska i korytarzową pozycję Śląska Niemieckiego.

Monachium było próbą odpędzenia budzącej ze słodkiego snu muchy. Dni poprzedzające sprawę sudecką były wymarzone dla sojuszu wojennego Anglii, Francji, Czech, Polski i—prawdopodobnie — Rosji. Uzbrojony czeską bronią żołnierz polski mógł dokonać wielkich rzeczy. Można było podjąć dwustronną ofensywę, zwłaszcza że linia Zygfryda nie paraliżowała jeszcze strachem sztabu francuskiego. Polska miała wobec stanowiska Rosji spokojne tyły. Nie używając sił lądowych Rosji—wykorzystać można było powietrzne. Śląsk Niemiecki był korytarzem, narażonym na uderzenia z obu stron. My mieliśmy dwa razy krótszą granicę. Kłajpeda była w rękach litewskich.

Europa chciała jeszcze spokoju. Polscy politycy wybrali łatwe, efektowne laury—dobicie powalonych. W nagrodę otrzymaliśmy korytarz, uczyniony z naszego Śląska, a wkrótce granicę z wrogiem, przedłużoną dwukrotnie. Jednocześnie na protestacyjną depeszę Z.S.R.R. odpowiedzieliśmy lekceważąco. Przewidujący polityk nie lekceważy państwa o 180 milionach ludności. Sowiety z odpowiedzią ociągały się rok. . . .

Trzeba było dopiero zaboru Czechosłowacji, by Europa obudziła się ze słodkiego snu. Za późno. . . . A tylko dlatego, że bano się myśleć o konsekwencjach swych kroków, nie chciano ich sobie wyobrażać. Rozgrywający się dramat Albanii minął w Europie prawie bez echa. Nikt nie spojrzał na mapę, by zrozumieć jej wymowę: Włochy weszły na Bałkany, w sam środek. Adriatyk jest "Mare Nostrum" (nasze morze), może zostać zagrożony. Albania dała próg atakowi na Grecję.

Podobne źródło ma ustosunkowanie się do sprawy hiszpańskiej: trzecia kampania tej wojny, ważna, gdyż będąca jakby poligonem, próbą generalną. W sprawie hiszpańskiej odegrało rolę kapitalne niedbalstwo Anglii i Francji—dla świętego spokoju uznano wojnę hiszpańską za wewnętrzną sprawę tego państwa. Zapoznano zupełnie moment, że w razie zwycięstwa czy to czerwonych z pomocą Sowietów, czy to Franca z pomocą Włoch i Niemiec—w Hiszpanii powstaje ekspozytura jednego z tych mocarstw, ekspozytura bardzo dla Europy Zachodniej niedogodna.

Przekonujemy się o tym teraz. Nie ma zewnętrznych czy wewnętrznych spraw narodów. Każda sprawa jest sprawą—już nawet nie Europy, ale całego globu. Prawda ta nie powinna być zaniedbana w czasie budowania nowego, powojennego porządku. Anglia winna była wtedy postawić na jedną ze stron hiszpańskich. Postawić tak mocno, by spowodować jej zwycięstwo—a więc ustalenie w Hiszpanii nowego porządku rzeczy. Wtedy nie trzeba by było oddawać Tangieru, ani nie oczekiwano by dziś ataku na Gibraltar. Było to szczególnie proste: położenie geograficzne Hiszpanii skłaniało obie strony do szukania oparcia nie w odległych Niemczech czy Sowietach, lecz właśnie we Francji czy w Anglii.

Konsekwencja rządzi światem. To motto należy powtarzać dziś, gdy rodzą się co raz to nowe projekty nowego urządzenia Europy, wskazując na lata 1931-1939, na Chiny, Bosfor i Gibraltar, na Włochy, Japonię i Hiszpanię—tak nam niewygodnych statystów historycznego dramatu.

Obóz Polski.

Wiktor Winiarski



Jan Sterling: Piechota (drzeworyt)

POLSKA 1940

VIII.—Kolonizacja niemiecka*

Wbrew pewnym pozorom niemiecka akcja kolonizacyjna w Polsce nie stanowi jednolitego i konsekwentnie przeprowadzanego działania. Zdaniem moim można rozróżnić w tej akcji trzy okresy.

Okres pierwszy—to jesień i zima 1939/40. Niemcy upojeni zwycięstwem, marzą o skolonizowaniu wszystkich ziem polskich. Z terenów inkorporowanych Polacy mają być w ogóle wyrzuceni, w Gen. Gubernatorstwie mają pozostać, ale mniejszość niemiecka ma być wzmocniona, by mogła wywierać odpowiednio silny wpływ na życie tego *Reststâatu* ("państwa-resztówki"). W berlińskich kołach decydujących utrzymują się różowe nadzieje, że z głębi Rzeszy popłynie potężna fala osadników. Więc wyrzuca się Polaków z ziem zachodnich całymi masami i to w sposób niesłychanie brutalny, narażając słabsze jednostki na śmierć z głodu i zimna. Na terenie Gen. Gubernatorstwa zakłada się wszędzie, gdzie się tylko da, szkoły i instytucje niemieckie.

Okres drugi—wiosna 1940 r. Władze niemieckie zaczynają spostrzegać, że mieszkańcy Rzeszy nie mają właściwie żadnej ochoty do osiedlania się na ziemiach polskich. Równocześnie okazuje się, że zbyt pośpieszne wydalanie Polaków może powodować pewne trudności w rolnictwie i w ogóle na rynku pracy. Wobec tego akcja wysiedleniowa trwa wprawdzie nadal, ale na skalę trochę mniejszą.

Okres trzeci—drugie półrocze 1940 r. Fiasko kolonizacji przy pomocy Niemców z Rzeszy staje się co raz bardziej widoczne. Wobec tego zapada decyzja przesiedlenia rolników niemieckich z Gen. Gubernatorstwa na tereny inkorporowane. Na pierwszy ogień idą Niemcy z wojew. lubelskiego. Liczne szkoły niemieckie ulegają zwinięciu. Równocześnie rosyjska ekspansja w kierunku zachodnim zmusza Hitlera do ściągnięcia Niemców z Litwy, Bukowiny, Bessarabii, Dobrudży. Są oni dla Rzeszy bardzo pożądanym elementem, potrzebnym do wzmocnienia niemczyzny na ziemiach polskich. Berlin spostrzega, że Polacy w Polsce zachodniej nie tracą ducha. Celem osłabienia ich prowadzi się nadal akcję wysiedleniową, ale celem wzmocnienia niemczyzny rozpowszechnia się tezę, iż w żyłach Kaszubów i Ślązaków płynie dużo cennej krwi germańskiej, którą należy ratować. Jednym słowem te grupy ludności mają ulec odpolszczeniu. Przybyszów z Sowietów osiedla się w ten sposób, by nowe tereny "niemieckie" rozdarły polski obszar językowy na kilka części, odcinając zupełnie mniejsze obszary (np. Kaszuby) od głównego polskiego terytorium etnograficznego.

Na scharakteryzowanie akcji kolonizacyjnej w r. 1941 jeszcze nie pora. Trudno też bez błędu ocenić jej dotychczasowe wyniki.

Z polskiego punktu widzenia rzuca się w oczy przede wszystkim niesłychane barbarzyństwo, jakie tę akcję cechuje. Czegoś takiego w naszym stuleciu Europa nie widziała. Zdarzały się wypadki przesiedlania ludności, ale na skutek dobrowolnych umów i nie w takiej formie i nie w takich rozmiarach. Wysiedlonym zrabowano wszystko i nie zapewniono im w. Gen. Gubernatorstwie żadnych możliwości egzystencji. Gdyby nie polska samopomoc i dobroczynność, ludzie ci marli by z głodu tysiącami.

Pomimo wszystko wysiedleni, z którymi w Polsce w zeszłym roku rozmawiałem, byli dobrej myśli. Pocieszali się złudną, niestety, nadzieją, że w ciągu kilku miesięcy Niemcy zostaną rozgromione. Obrotniejsi i bardziej przewidujący wzięli się do handlu i zapewnili sobie podstawy do życia. Zdarzali się i tacy, co starali się jawnie, za pozwoleniem władz niemieckich, wrócić do Polski zachodniej, gdzie tu i ówdzie brakowało wykwalifikowanych robotników, np. elektrotechników i monterów.

Warto tu zaznaczyć, że w tym prawdziwie bandyckim pośpiechu wysiedleniowym Niemcy nie ustrzegli się od niemiłych dla nich pomyłek. Np. do pewnej miejscowości pod Ostrowem Wielkopolskim przybył na urlop z "Linii Siegfrieda" żołnierz celem odwiedzenia matki. Pracował on kilkanaście lat w głębi Niemiec, bodajże w Zagłębiu Ruhry, więc się trochę zniemczył, a że bił się dzielnie, więc dostał różne odznaczenia wojskowe. Jakież było jego zdziwienie i oburzenie zarazem, gdy dowiedział się, że matkę wraz z innymi Polakami wywieziono gdzieś na wschód, pod Mielec, czy też Dębicę. Poszedł natychmiast, obwieszony odznaczeniami, do miejscowego landrata i zrobił takie "piekło," iż ten dał mu nie tylko wszelkie potrzebne przepustki, ale i samochód celem odszukania matki.

Podobnych wypadków mogło być więcej. Zdarzało się też, że miejscowi Niemcy ujmowali się za Polakami i starali się ich obronić przed wysiedleniem.

Z niemieckiego punktu widzenia wyniki akcji kolonizacyjnej są zupełnie niewystarczające. Gdyby nawet wysiedlono dwa miliony Polaków (sądzę, że Niemcom daleko jeszcze do osiągnięcia tej cyfry), no to przecież nie stanowiło by to ani ćwierci ogółu Polaków. Jeszcze gorzej jest z osadzaniem Niemców. Pod koniec 1940 r. pisma niemieckie operowały cyfrą około 130 tysięcy Niemców, osadzonych na roli w "*Neu-Deutschland.*" Ta cyfra oczywiście do tej pory znacznie wzrosła, np. w powiecie żywieckim osiedlono—jak twierdzi gauleiter Bracht—4 tysiące Niemców, poza tym osiedliło się sporo niemieckich kupców, urzędników, majstrów. Rezerwy kolonizacyjne jeszcze nie są wyczerpane, jeszcze tysiące *Volksdeutschów* z Bessarabii i Bukowiny przechodzą przeszkolenie w niemieckich obozach, być może, że jeszcze sprowadzi Hitler Niemców z Bałkanów.

Ale to wszystko nie wystarcza, tym bardziej, że trochę Niemców trzeba osiedlić na ziemiach czeskich, szczególnie na Morawach, by z centralnych Czech zrobić odosobnioną wyspę słowiańską. Jest rzeczą widoczną, że część Niemców bałtyckich zdołała "wsiąknąć" w ziemie rzeczywiście niemieckie, nie kwapiąc się do osiedlania w Polsce. A jeszcze mniej ochoty mają t.zw. *Reichsdeutsche*. Trzeba ich przekonywać, zachęcać, karcić za opieszałość, lenistwo, brak patriotyzmu. "Górny Śląsk to nie "Syberia"! —woła tygodnik "Das Reich." Jeśli tak mało ochotników do wyjazdu na Górny Śląsk, to cóż dopiero myślą sobie Niemcy o Mazowszu i Kujawach!

Żywioł niemiecki jest na terenach inkorporowanych jeszcze tak słaby, iż władze unikają ogłaszania statystyki narodowościowej. Czasem spotyka się pewne cyfry, gdy chodzi o b. Kongresówkę. Tu bowiem Niemcy nie ukrywają, że byli słabą mniejszością. Za to nie wypada im się przyznać, że są jeszcze i teraz mniejszością w b. zaborze pruskim. Wyjątkowo mogą to powiedzieć o Gdyni, ponieważ miasto zostało zbudowane przez Polaków, niemieckiej przeszłości nie miało, więc to ostatecznie nie ubliża przyznać się, że Niemcy nie mają tam jeszcze większości.

To też jeden z tygodników niemieckich podał, że z końcem 1940 r. Gdynia liczyła 90 tysięcy mieszkańców, w tym 27 tysięcy Niemców, 13 tysięcy Polaków i 50 tysięcy Kaszubów. A więc Polacy stanowią conajmniej 70% ludności, bo przecież zapewne i wśród tych 27 tysięcy Niemców jest trochę steroryzowanych Polaków.

W Sosnowcu ludność niemiecka wzrosła do 5 tysięcy. Ludność Sosnowca też mocno spadła, z pewnością nie jest to już miasto stutysięczne, ale nawet w tym wypadku procent Niemców jest skromny. W Będzinie, który liczy 55 tysięcy ludzi, w tym 26 tysięcy Żydów, Niemców jest jeszcze mniej, niż w Sosnowcu.

Katowice liczyły z końcem ubiegłego roku 138.954 mieszkańców; w ciągu roku przybyło z poza Katowic 5.687 osób. Przypuśćmy, że to byli bez wyjątku Niemcy i nie zapominajmy, że ogromna masa Niemców osiedliła się jeszcze przed rokiem 1940, t.zn. w ostatnich miesiącach 1939 r. Nawet przy uwzględnieniu tych wszystkich okoliczności wolno wątpić, czy Niemcy, prawdziwi Niemcy, są większością.

Do szkół powszechnych w Warthegau uczęszczało 90 tys. dzieci. Przyjmijmy, że to wszystko dzieci niemieckie, że pewna, co prawda nieznaczna, część dzieci, żyjących w rozproszeniu, ze szkół korzystać nie może, a ponieważ rodziny niemieckie na ogół nie są "*kinderreich*," więc na każde dziecko w szkole przyjmijmy jeszcze 6 lub 7 Niemców. Tak, czy inaczej nie dociągnie się do miliona.

Nie sądzę ,aby Niemcy pomniejszali rezultaty swej akcji kolonizacyjnej. Przeciwnie, reklamują każdy sukces na tym polu, chwalą się każdą nową wioską lub fabryką. Chcą bowiem dodać otuchy dalszym kolonistom, a zarazem zamknąć usta tym nielicznym jeszcze krytykom, podobno głównie z kół wojskowych, którzy ustalając, że odpowiedzialność spoczywa na partii, stwierdzają mizerne wyniki. Widzą, że Polakom wyrządzono dużo szkód, ale zasiano nienawiść i nie zbudowano niczego wielkiego ani trwałego. Więc przebąkuje się, że "czwarta Rzesza," którą ewentualnie stworzyłaby armia, będzie mieć ciężki spadek nawet w razie zwycięskiego zakończenia wojny, w co Niemcy co raz mniej wierzą.

Stanisław Zatorski

* Por poprzednie artykuły cyklu: "I. Jak się po niej podróżuje," druk. w nr. 5, "Co się widzi z okna pociągu i na ulicy," druk. w nr. 7; "III. Co myśli i czuje społeczeństwo pod okupację," druk. w nr. 8; "IV. Warunki zarobkowe i aprowizacyjne," druk. w nr. 9; "V. Stosunek do okupantów," druk. w nr. 10, "Stosunki narodowościowe," druk. w nr. 13; "VII. Masa chłopska wobec najeźdźcy," druk. w nr. 15-16, "Polski Walczącej."

Pieśń wysiedleńców z Poznańskiego

Ten przejmujący dokument tragedii ludności ziem zachodnich otrzymaliśmy niedawno drogą okrężną z kraju

Wśród nocnej ciszy
Autobus ryczy,
Wstańcie Polacy
Gestapo krzyczy.

Czem prędzej się ubierajcie,
Do baraków pośpieszajcie
Przywitač swoich.

Poszli, znaleźli swoich na słomie,
Jeden drugiemu suchy chleb łamie,

Czem prędzej się wybierajcie
Do wagonów pośpieszajcie,
Gostyń (lub inne miasto) żegnajcie,
Poznań żegnajcie.

I wywieźli nas w nieznane strony,
Nie mamy słonimy ani słomy,
Wołamy Anglio do Ciebie,
Ratuj w ostatniej potrzebie,
Bo giniemy.

Gdynia pod okupacją niemiecką*

Obozy koncentracyjne

Do Gdyni Niemcy wkraczali w dniu 14 września 1939 r. z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Widać było wyraźnie, że bali się tego na wskroś polskiego miasta, o którym nawet Goebbels nie mógł powiedzieć, jakoby zawdzięczało swe istnienie niemieckiemu "geniuszowi."

Na wszelki wypadek zaczęli zajmować miasto dopiero wtedy, gdy przekonali się, iż go nie broni już ani jeden żołnierz. Aby zaś zabezpieczyć się przed niespodziankami ze strony cywilnej ludności Gdyni—wysłali jako przednie straże oddziały pancerne, z działkami i karabinami maszynowymi, gotowymi do strzału. Oddziały te obsadziły wszystkie najważniejsze punkty w mieście i porcie, a zrobiły to tak szybko i tak sprawnie, że widać było, iż także plan okupacji miasta "piąta kolumna" przygotowała im z góry.

Z kolei wkroczyła do miasta zmotoryzowana piechota. Jej zadaniem było otoczenie kordonami wszystkich ulic miasta. Gdy Gdynianie dnia 14 września przebudzili się, stwierdzili, że zostali uwięzieni przez okupanta we własnych domach. Opuszczenie domu było niedopuszczalne. Za pośrednictwem członków Straży Obywatelskiej, która musiała podporządkować się najeźdźcy, Niemcy zagrozili rozstrzelaniem każdemu, kto by odważył się swój dom opuścić. A uzbrojeni w gotowe do strzału ręczne karabiny maszynowe żołdacy, których ustawiono przed każdą bramą, pilnowali wykonania tego zarządzenia.

Cel zarządzenia zrozumieliśmy wkrótce, gdy ze wszystkich domów zaczęto wyprowadzać mężczyzn. Okupanci bowiem postanowili prewencyjnie internować wszystkich mężczyzn w wieku od lat 16 do 60.

W rozmaitych punktach miasta przygotowano na prędce prowizoryczne "obozy koncentracyjne." Utworzono ich kilkanaście, podobno 17—jak chwalił się jeden z Niemców. A rozsiane były po tych wszystkich dzielnicach Gdyni, które w dniu 14 września znalazły cię pod okupacją niemiecką. Nie obejmowały więc jeszcze Kępy Oksywskiej, na której terenie okopali się obrońcy wybrzeża.

Na "obozy koncentracyjne" przeznaczono m.in. trzy kościoły —Serca Jezusowego, Najśw. Marii Panny i O. O. Franciszkanów na Wzgórzu Focha. Nadto utworzono obozy w szeregu kin ("Gwiazda," "Polonia" i "Lido"), w barakach wojskowych w Redłowie, w Etapie Emigracyjnym na Grabówku oraz na kortach tenisowych i rozmaitych ogrodzonych placach.

We wszystkich tych "obozach" umieszczono w ciągu kilku godzin z górą 35 tysięcy mężczyzn. Ponieważ w chwili opuszczania domu żaden z nich nie zdawał sobie sprawy ze swego dalszego losu—znaczna większość z nich znalazła się w obozie bez cieplejszej odzieży, nawet bez pieniędzy, które pozwoliłyby nabyć żywność, papierosy i t.p. Brak cieplejszej odzieży dawał się szczególnie we znaki—rozpoczęły się bowiem zimne, deszczowe dni.

Poza tym niespodziane uprowadzenie wszystkich mężczyzn z domów rozdzieliło ich z rodzinami. Dlatego przez szereg dni na ulicach całej Gdyni odbywały się niekończące się wędrówki kobiet i dzieci. To matki, żony, narzeczone, córki, siostry i małoletni braciszkowie szukali swych braci, synów, mężów, ojców i narzeczonych. . . .

Te tragiczne wędrówki tysięcy kobiet i dzieci są zarazem jednym z najpiękniejszych epizodów obecnej wojny. Mimo wszelkiego rodzaju szykan i brutalnych napaści ze strony okupantów—dzielne kobiety gdyńskie wraz z dziećmi przez kilkadziesiąt dni opiekowały się więzionymi mężczyznami. Niemcy otaczali obozy gęstymi kordonami. Ale i to często nie pomagało—kobiety przełamywały kordony, docierały do płotu lub bramy "obozu," by tam szybko przerzucić swą paczkę.

Szczególnie odznaczały się dzieci, które niemal zawsze potrafiły przedrzeć się przez kordon. Nie zapomnę nigdy tego siedmioletniego malca, który tak długo kopał i okładał piąstkami żołdaka, broniącego mu dostępu do płotu, za którym więziono jego ojca, aż wymógł wreszcie zezwolenie na dojście do płotu; mało tego—zażądał jeszcze od żołnierza, aby go podniósł na wysokość płotu. A gdy potem żołnierz—pochodzący prawdopodobnie z Gdańska, gdyż mówił nieźle po polsku—domagał się od malca, aby mu za te usługi podziękował chłopiec hardo odpowiedział, że . . . Niemcom nie dziękuje.

Ogrom poświęcenia kobiet gdyńskich zrozumie się wtedy, gdy się zważy, iż wszystkie sklepy, nie wyłączając żywnościowych, były zamknięte, a prywatne zapasy wiktuałów już na wyczerpaniu. Tym nie mniej bez zastanowienia wszystko oddawano więzionym mężczyznom, o których Niemcy zupełnie się nie troszczyli. Kobiety, które nie mogły znaleźć swych bliskich, oddawały przeznaczone dla nich paczki nieznanym sobie więźniom z nadzieją, iż może jakieś inne niewiasty zaopatrzą ich mężów, synów i braci. I miały rację. Niezliczone anonimowe paczki docierały bowiem niemal do wszystkich. A kto przesyłki nie otrzymał, z tym dzielili się jego bardziej szczęśliwi towarzysze niedoli.

"Obóz koncentracyjny" naturalnie nie minął i mnie. Razem z mymi dwoma braćmi osadzono mnie na placu przy głównym dworcu, na którym swego czasu grało się w tenisa. Na terenie, który z trudem mieścił dwa korty tenisowe, uwięziono ponad 2.000 osób. . . . Dziesięć godzin, spędzonych na tym placyku (zanim nas nie zapędzono do innych "obozów")—wspominam jak koszmar.

Kilka baterii armat, ustawionych w pobliżu naszego więzienia (na wzgórzach przy ul. Leśnej), jak i działa umieszczone w wielu innych punktach miasta—huczały bez przerwy, ostrzeliwując Kępę Oksywską. Nad głowami świszczały nadto pociski ciężkich dalekonośnych dział, skierowanych na Oksywie z Gdańska oraz armat niemieckich jednostek morskich. A w krótkich przerwach dziesiątki samolotów zrzucały na obrońców oksywskich swe śmiercionośne ładunki. . . .

Gdy się ściemniło, wśród przejmującego zimna i nieustającej ulewy, ze ściśniętym sercem patrzeliśmy poprzez bagnety pilnujących nas żołnierzy na olbrzymi pożar, obejmujący powoli całą Kępę Oksywską. . . . Łuna pożaru oświetlała twarze uwięzionych. Wszystkich oczy skierowane były na Oksywie.

Nagle z hukiem dział i warkotem samolotów zmieszały się dźwięki . . . niemieckiego marsza wojskowego. Widocznie Niemcom nie podobało się to milczące solidaryzowanie się więzionych mężczyzn z bohatersko walczącą załogą Oksywia. Postanowili "zabawić" nas koncertem "rozrywkowym." Orkiestra wojskowa, ustawiona na terenie obozu, a więc specjalnie dla nas przeznaczona—"umilała" nam przez kilka godzin czas niemieckimi marszami wojskowymi. . . .

Na tak ponure widowisko potrafi się zdobyć z pewnością tylko mózg Niemca.

Wiesław Waligórski

* Por. tegoż autora: "Z kampanii wrześniowej—obrona Gdyni i Oksywia," druk. w nr. 6-ym "Polski Walczącej."

Polsko-czeskie stosunki kulturalne w XIX-ym wieku

I.

Znany jest w Polsce powszechnie fakt, że Mieczysław przyjął chrześcijaństwo z Czech i że od tej pory wpływy czeskie na język i piśmiennictwo polskie są dosyć silne. Wiadomo też, że za Jagiellonów, w okresie reformacji i wzrostu kultury stosunki polsko-czeskie, tak polityczne jak i kulturalne są bardzo żywe. Urywa się to jednak w 1620 roku, a więc w ostatnim roku czeskiej samodzielności politycznej, a ostatnim faktem w dziejach stosunków polsko-czeskich jest udział jazdy polskiej pod dowództwem Lissowskiego w bitwie na Białej Górze po stronie katolicyzmu, reprezentowanego przez armię niemiecką.

Potem ustaje wszystko. Ani wyprawa Sobieskiego na Wiedeń, ani wojny napoleońskie nie wprowadziły tutaj żadnej zmiany. Jest to zrozumiałe, bo naród czeski nie powrócił jeszcze do pełni swego życia kulturalnego i politycznego, zdławionego przez Wiedeń.

Dopiero w ciągu wieku XIX następuje znaczne ożywienie w stosunkach polsko-czeskich. Badanie historii tego okresu jest niesłychanie ważne, ponieważ rodzą się w nim te wszystkie wielkie i małe zagadnienia, które łączyły czy dzieliły Polaków i Czechów. W tym czasie kształtuje się też umysłowość Czecha i jego sposób życia, jego światopogląd polityczny i kultura. A ponieważ w tymże samym czasie w warunkach walki z zaborcami kształtowała się dusza współczesnego Polaka, więc szczegółowe rozważenie stosunków polsko-czeskich w XIX wieku, oraz tych wszystkich czynników, od których były one uzależnione—stanowi jedyną drogę, prowadzącą do wzajemnego zrozumienia.

Niestety stosunki polsko-czeskie w XIX wieku należą do tych polskich problemów, które są najmniej znane, zbadane i opracowane. Polska literatura naukowa nie posiada tutaj bodaj ani jednego dzieła dającego pełne ujęcie i ogólny pogląd. Jedynym uczonym polskim, który przystąpił do systematycznych badań stosunków polsko-czeskich w XIX wieku jest Marian Szyjkowski, profesor literatury i języka polskiego na Uniwersytecie Karola IV w Pradze. Prof. Szyjkowski opierał się jednak głównie na źródłach czeskich, pracował przy poparciu *Slovanskiego Ustavu* w Pradze i wydawał swoją wielką monografię po czesku. Żmudna praca tego badacza, który pierwszy doszukiwał się źródeł niezbadanych jeszcze i z nich korzystał, nie mogła posuwać się szybko na przód. Trzeba być na to prof. Szyjkowskim, aby spędzając wakacje w Karlovych Varach przesiadywać całymi dniami nad starymi książkami gości hotelowych, badać kiedy był tam kto z przedstawicieli kultury polskiej i z kim z wielkiego świata europejskiego spotykał się u źródeł leczniczych! Pracując tak drobiazgowo i skrupulatnie mógł prof. Szyjkowski zbadać zaledwie stosunski polsko-czeskie w XIX wieku z okresu powstania listopadowego. Inwazja Hitlera na Czechosłowację przekreśliła możliwość dalszych badań.

* * *

Tak się złożyło, że naród czeski zaczął się budzić do nowego życia w tym samym czasie, kiedy naród polski po trzecim rozbiorze tracił ostatnie znamiona niepodległego bytu politycznego. Tym głuchym prądem podziemnym, który wstrząsnął całą Europą, a więc i Czechami była rewolucja francuska. Co prawda miała ona silny wpływ także w Polsce na losy walki narodu o utrzymanie bytu politycznego, ale podczas, gdy w Polsce dodała ona tylko pięknego blasku zachodzącemu słońcu, w Czechach stała się pierwszym promieniem przedświtu.

Wtedy naród czeski reprezentowała wieś. Chociaż Czesi znajdowali się w szeregach duchowieństwa, chociaż przenikali do miast, wciskając się w szeregi kupców, rzemieślników, służby, chociaż było ich wielu wśród nauczycieli wiejskich i urzędników administracji gminnej, choć czasem zdobywali nawet wyższe wykształcenie i wchodzili w szeregi inteligencji—to jednak ci wszyscy Czesi wyszli bezpośrednio ze wsi i czuli się z nią ściśle związani. Nie było chyba wówczas takiego Czecha, mieszkającego w mieście i miasteczku, któryby nie miał rodziny na wsi. Zanim naród czeski będzie reprezentowany na wszystkich szczeblach społecznych, najpierw czołowymi jego przedstawicielami staną się młynarz i szynkarz, którzy znów z kolei będą oparciem dla rozwoju patriotyzmu szerokich mas.

To też nic dziwnego, że na początku XIX wieku działaczy narodowych czeskich było zaledwie kilku. Słuszne też było powiedzenie, że gdyby wówczas na skutek jakiejś katastrofy zawalił się sufit w kawiarni, w której się owi działacze w Pradze zbierali, to może naród czeski nigdyby się już nie odrodził.

W tak trudnych warunkach rozpoczęło się czeskie odrodzenie narodowe. Naród nie miał wtedy nic, oprócz pieśni ludowych. To była cała jego twórczość artystyczna i od rozwoju tej twórczości rozpoczął się proces odrodzenia. Właśnie w r. 1796 ks. Puchmajer zebrał i wydał pierwszy tomik czeskich pieśni ludowych. I to był początek. . . . Żeby podtrzymać dzieło rozpoczęte, własna pieśń ludowa wystarczyć nie mogła, ale trzeba było sięgnąć po pomoc z zewnątrz. I ta pomoc nadeszła—z Polski.

Czeskie odrodzenie narodowe było z natury rzeczy aktem antyniemieckim. Nie można więc było czerpać twórczego natchnienia ze źródeł niemieckich, bo w następstwie prowadziło by to tylko do większej germanizacji. Kultura francuska, czy angielska była wówczas niedostępna, choćby ze względu na trudności językowe, brak styczności, no i ze względu na wojny napoleońskie. Pozostała więc najbliższa duszy czeskiej kultura słowiańska, najbardziej zrozumiała językowo i najłatwiej dostępna. Na przełomie XVIII i XIX wieku wielka literatura rosyjska jeszcze nie istniała, z dorobku Słowian południowych ze względu na układ polityczny na Bałkanach nie można było czerpać. Pozostała więc tylko Polska. . . . Polska najbliższa terytorialnie, językowo i reprezentująca najwyższą słowiańską literaturę! To też odrodzenie narodowe czeskie oparło się na wzorach polskich.

Już z tych krótkich i bardzo pobieżnych rozważań widać, że na progu czeskiego odrodzenia narodowego zarysowały się od razu zupełnie wyraźnie dwie podstawowe cechy ostatnich stu czterdziestu lat historii czeskiej. Ukształtowanie społeczne oparte na szerokich masach ludowych, dopuszczające w konsekwencji tylko ustrój demokratyczny, w późniejszym swym rozwoju pojmowany nieraz nawet skrajnie i kosmopolitycznie; charakter słowiański całej kultury czeskiej we wszystkich jej przejawach. Natomiast tragiczną okoliczność układu stosunków polsko-czeskich stanowiło to, że Polska reprezentowała w XIX wieku wysoką kulturę, nie będąc zarazem mocarstwem politycznym, o które Czesi mogliby się całkowicie oprzeć. W warunkach ówczesnej rzeczywistości Czesi mogli korzystać jedynie z polskiego dorobku kulturalnego. W każdym razie ludowość i słowiańskość, przejawiająca się tak silnie u podstaw czeskiego odrodzenia narodowego zadecydowały o całym jego dalszym rozwoju.

* * *

Zainteresowania polskie Czechami na przełomie XVIII i XIX wieku zaczynają się od podróży do Karlovych Varów, bodajże najmodniejszego wówczas "kurortu" i miejscowości letniskowej w Europie Środkowej. Jeździli tam oczywiście przedstawiciele świata umysłowego różnych narodowości, stykali się ze sobą, nawiązując osobiste kontakty.

Jeśli chodzi o Polaków, to można tam spotkać wszystkie czołowe postacie okresu króla Stanisława z biskupem Krasickim i Niemcewiczem na czele. Droga z Polski do Karlowych Varów biegła przez całe Czechy, a ponieważ podróżowano końmi—bądź to pocztą, bądź własną karocą—więc było dość czasu na obserwację kraju, szczególnie jeśli niektórzy polscy podróżnicy, jak np. biskup Krasicki odbywali tę podróż niemal że co roku. Polscy podróżni często wstępują po drodze do Pragi, umacniając w ten sposób swoje osobiste związki z działaczami czeskimi, a nawet opracowują potem relacje ze swej podróży do Czech, które przedstawiają świeżo założonemu warszawskiemu Towarzystwu Nauk.

W ogóle ze wszystkich ośrodków umysłowych w Polsce nasilniej rozwija te stosunki z Pragą Warszawa. Dopiero w okresie rozwoju uniwersytetu wileńskiego te stosunki obejmą także Wilno. Zresztą stosunki z Warszawą rozwijają się z różnych powodów. Warszawa była wówczas centrum zaboru pruskiego i pozostała nim, aż do czasów powstania księstwa Warszawskiego. W taki sposób do Prus należała wtedy stolica państwa polskiego wraz z obszerną połacią kraju o wysokiej kulturze. Warszawa pozostała nadal ośrodkiem polskiego życia duchowego, ośrodkiem polskiej twórczości literackiej.

W Warszawie też tworzył Kazimierz Brodziński, poeta bardzo bliski pierwszym przewodnikom odrodzenia czeskiego, bo sięgający do wzorów poezji ludowej, a więc do tych samych źródeł, na których oparli się czołowi pisarze czescy tego okresu, jak Puchmajer, Celakovsky, Kollar, Safarik. Szczególnie z Celakovsky'm łączyły go dobre stosunki. Brodziński nie tylko utrzymywał stałe kontakty korespondencyjne, ale nawet specjalnie jeździł do Pragi celem osobistego poznania swoich czeskich przyjaciół.

Czescy pisarze szli konsekwentnie po raz obranej drodze. Zaczęli od interesowania się motywami poezji ludowej, przechodząc potem do rozwijania tych motywów we własnej oryginalnej twórczości.

Wszyscy wymienieni pisarze czescy są nie tylko poetami. Zajmują się także zagadnieniami naukowymi i to w zupełnie jasno określonym kierunku. Badają folklor, sięgają do historii swego narodu, oraz badają początki Słowian, chcąc w ten sposób uzupełnić jakby swą twórczość poetycką, oraz idąc po linii haseł poezji romantycznej która przez swój charakter ogromnie sprzyjała rozwojowi odrodzenia czeskiego.

Interesowali się przy tym ogromnie zagadnieniami, związanymi z językiem ojczystym, zajmując się nie tylko gramatyką, lecz także ustalając pisownię. Na polu badań językowych zasłynął przede wszystkim Józef Dobrovsky, który pierwszy opracował w tym czasie zasady języka czeskiego.

W taki sposób działacze czeskiego odrodzenia rozpoczęli swą misję narodową, wierząc głęboko, że pociągną za sobą całe społeczeństwo czeskie. Z początku jednak byli całkowicie osamotnieni i pracowali z prawdziwym zaparciem się często o głodzie i chłodzie.

Jan Miszewski

Winston Churchill wśród Czechosłowaków





Winston Churchill przygląda się defiladzie w towarzystwie Prezydenta Benesza (na lewo), premiera ks. Szrameka i gen. Ingra (na prawo). Oddział czechosłowacki maszerujący w defiladzie (u dołu).

Bratnia armia czechosłowacka została również zaszczycona wizytą premiera W. Brytanii Winstona Churchilla. 19 kwietnia odwiedził on obóz I Brygady czechosłowackiej w towarzystwie prezydenta Czechosłowacji Edwarda Benesza. W otoczeniu prezydenta znajdowali się: premier ks. Szramek, głównodowodzący wojsk czechosłowackich min. gen. Ingr, gen. Niżborsky i szereg wyższych oficerów.

Powitany fanfarą z "Libuszy" premier W. Brytanii dokonał przeglądu wojsk czechosłowackich. Pochyliły się przed nim sztandary, przywiezione jeszcze z Francji, pamiętające wszystkie dawniejsze próby złamania germańskiej przemocy. Postawa żołnierza zrobiła doskonałe wrażenie na premierze W. Brytanii, który może uprzytomnił sobie, że ma przed sobą potomków tych samych rycerzy, co w XV wieku bili Niemców pod Taborem, Witkowem, Domażlicami. Żołnierze zaś czechosłowaccy z tym większą przyjemnością defilowali przed znakomitym sternikiem W. Brytanii, że widzieli w nim wypróbowanego przyjaciela Czechosłowacji, który zawsze, a zwłaszcza w smutnych dniach Monachium, z całym przekonaniem i energią występował w obronie jej niepodległości.

Winston Churchill skorzystał ze sposobności i wygłosił przemówienie, w którym mocno podkreślił niezachwianą wiarę w zwycięstwo W. Brytanii i jej sojuszników, wśród których poczesne miejsce zajmują bojownicy czechosłowaccy.

S. Z.

Europa w okowach

KSIĄŻKA OSTRZEGAWCZA

"Całe szczęście, że ludzkość jest gatunkiem częściowo tylko zdolnym do współczucia"—mówi w jednej ze swych znakomitych powieści pisarz angielski Aldous Huxley. Rzeczywiście, cierpienie jest tak częste i tak powszechne, że gdybyśmy mieli, każdy z nas, czuć za wszystkich, ugięlibyśmy się pod tym brzemieniem w ciągu drobnego ułamka sekundy. Pełna obojętność jest jednak rzeczą również groźną. Ta myśl z pewnością leży u podstawy pracy Paula Einziga "Europa w kajdanach,"* doskonałej broszury informacyjnej traktującej o tym, co się dzieje w krajach okupowanych przez Niemcy.

Broszura jest pomyślana jako ostrzeżenie pod adresem tych, którzy tak w W. Brytanii, jak i w Stanach Zjednoczonych lekce sobie ważą ucisk, jaki niesie za sobą panowanie niemieckie i których w związku z tym nie przeraża zbytnio nawet perspektywa okupacji.

Autor kolejno omawia formy wyzysku gospodarczego stosowanego przez Niemców w Austrii, Czechosłowacji, *Polsce* (rozdział p.t. "Naród Polski skazany na wytępienie"), Danii, Norwegii, Holandii, Belgii i Francji. Od czasu wyjścia tej książki w jarzmo niemieckie popadły cztery inne narody: Rumunia, Bułgaria, Jugosławia i Grecja.

W specjalnych rozdziałach omawia autor także: 1) nadużycia niemieckie w stosunku do sojuszników i wrogów w okresie wojny z lat 1914—1918; 2) wymuszenia stosowane obecnie wobec tych krajów, które, jakkolwiek nie zajęte, poddane są szantażowi ze strony Rzeszy; 3) grożące Europie widmo głodu. Dalsze specjalne rozdziały poświęcone są rozważeniu—dla ostrzeżenia—jaki byłby los W. Brytanii oraz całego świata, gdyby Niemcom udało się je podbić.

We wstępie autor zauważa, że za upadek Francji odpowiedzialna jest krótkowzroczność tak lewicy jak i prawicy francuskiej. Według niego uderzenie militarne Niemiec zostało poprzedzone podziemną robotą przygotowawczą lewicowej i prawicowej piątej kolumny francuskiej.

UCZCIWOŚĆ NIEMIECKA I "KLAVIERZÜGE"

W swych poglądach na charakter niemiecki, autor łączy się z rosnącym co raz bardziej obozem realistów. "Naród niemiecki zdaje się mieć specjalny dar stwarzania naukowych uzasadnień dla każdego bezprawia, które zamierza popełnić. W obecnej wojnie "naukowe" to uzasadnienie mieści się w micie o wyższości rasy "nordyckiej," uprawnionej na zasadzie tej urojonej wyższości do panowania nad światem i do wyzyskiwania całej ludzkości. "Niemiec jest uczciwy nie dla samej uczciwości, lecz dlatego, że uważa, że mu się to opłaca, jest zaś uczciwy dopóty tylko, dopóki się mu to w jego mniemaniu opłaca" — pisze Einzig, powołując się na smutne doświadczenia firm brytyjskich w transakcjach handlowych z Niemcami.

Interesująca jest informacja, że już w czasie Wielkiej Wojny (1914-18) austriaccy oficerowie obserwujący postępowanie swych niemieckich sojuszników w krajach okupowanych, porównywali je do przemarszu hord Dżingis Chana. Już wówczas zaznaczyła się różnica pomiędzy traktowaniem okupowanych ziem zachodnich a traktowaniem ziem wschodnich. Omawiając eksploatację na wschodzie, Einzig opowiada o t.zw. *Klavierzüge*. Oto, aby wagony, które przywiozły do ówczesnej Rumunii okupacyjną armię niemiecką, nie wracały do Reichu puste, Niemcy załadowali na nie fortepiany zarekwirowane ludności rumuńskiej. Że fortepiany te były przeważnie produkcji niemieckiej, zysk był dla Rzeszy podwójny: ze sprzedaży i z grabieży.

Różnica między postępowaniem niemieckich okupantów w latach 1914-18 a dzisiaj wynika według autora z dwóch przyczyn: po pierwsze cesarskie Niemcy miały jeszcze pewne skrupuły—nie mają ich zupełnie Niemcy hitlerowskie, po drugie zaś, niemiecki system eksploatacyjny zrobił od czasów Wersalu olbrzymie postępy a doktryna wyższości rasowej uzbroiła Niemców w większą dozę bezczelności.

AUSTRIA I CZECHOSŁOWACJA

Jak informuje Einzig, zajęcie *Austrii* było dla Niemców wcale dobrym interesem, gdyż austriackie zapasy złota były znacznie wyższe od zapasów wielokrotnie przecież większej Rzeszy. Mimo defraudacji dokonywanych w Austrii przez hitlerowskich komisarzy, nasłanych przeważnie z Reichu, mimo rabunkowej gospodarki leśnej i t.d., Austria w opinii Einziga w porównaniu z innymi krajami wychodzi z tej sytuacji obronną ręką. Przyczyna tego leży w tym, że przynajmniej w teorii Niemcy uważają Austriaków za "swoich."

Kolejna ofiara, *Czechosłowacja*, ma się znacznie gorzej. Interesująca jest sprawa złota tego państwa. Pierwszą instrukcją po zajęciu Pragi było: "oddajcie nam złoto." Złoto było jednak zagranicą. Na oczywisty rozkaz z góry prasa niemiecka uderzyła w płacz nad krzywdą Słowacji, której zagranica nie chce oddać przypadającej Słowakom części złota czechosłowackiego. Nic dziwnego więc, że kiedy Bank Rozrachunków Międzynarodowych wskutek pewnych nieczystych kombinacji politycznych wydał Niemcom sporą część złota czechosłowackiego, wśród Słowaków zapanowała radość. Krótko jednak ta radość trwała. Delegacja słowacka, która udała się po złoto do berlińskich "opiekunów," wróciła z pustymi rękoma.

Na marginesie opisu różnorodnych form eksploatacji gospodarczej autor zwraca również uwagę na zatrucie przez Rzeszę współżycia między ludnością czeską a niemiecko-sudecką, zaznaczając, że "system hitlerowski wydobył w Niemcach sudeckich na jaw najgorsze strony charakteru ludzkiego."

POLSKA

Polska znalazła w pracy Einziga pełne zrozumienie. Ciekawą jest rzeczą, jak autor tłumaczy sobie fakt, że ucisk niemiecki jest w Polsce bez porównania większy, niż w t.zw. "morawsko-czeskim protektoracie." Przyczyny nie należy dopatrywać się w tym, że Polska pierwsza stawiła Niemcom zbrojny opór. Einzig sądzi, że właściwe powody są następujące: odwieczna nienawiść Niemców do Polaków—nienawiść do Czechów ma być sztucznym produktem propagandy z r. 1938 (kryzys "sudecki") — przeszło dwudziestopięciomilionowy naród polski uważają Niemcy za źródło stałego niebezpieczeństwa, podczas, gdy Czesi są mniej liczni a państwo czeskosłowackie rozpadło się w dobie okupacji przez Rzeszę. Mimo wszystko Einzig uważa, że Czechom i Słowakom na dłuższą metę grozi, w razie zwycięstwa Niemiec dokładnie ten sam los, co i Polakom.

Ponieważ formy eksploatacji Polski i tępienia ludzi są aż nadto dobrze znane, zbędną było by rzeczą powtarzać na tym miejscu to, o czym opowiada autor. W każdym razie warto zanotować uwagę końcową Einziga: "Jak widać naród polski tępiony jest drogą eksploatacji, opartej na iście naukowych metodach. Najprawdopodobniej, gdy kilka milionów ludzi zginie wskutek podobnego traktowania, stopień ucisku zostanie zmniejszony w nadziei, że reszta Polaków pokornie podda się niemieckiemu panowaniu. Ci jednak, którzy znają charakter polski, rozumieją, że ukryty duch oporu mimo wszelkich cierpień przetrwa i nadal. Nic nie złamie wiary Polaków, że naród ich z powrotem powstanie."

Ponieważ Einzig skupia uwagę zasadniczo na zjawisku eksploatacji gospodarczej, rozdział o Polsce w zasadzie pomija inne formy prześladowania jak np, stosowanie morderstwa, likwidację kultury, poniewieranie godności ludzkiej i t.d. i t.d. Pełnia obrazu na tym traci ogromnie. Jakkolwiek by było, wielokrotnie autor podkreśla, że pośród wszelkich krajów okupowanych przez Rzeszę ta część Polski, która wpadła w ręce niemieckie, jest traktowana najbrutalniej i najbardziej bezlitośnie.

W takiej sytuacji trudno pocieszać się tym, że przynajmniej złoto polskie Niemcom się nie dostało, jakkolwiek jest to rzecz tak z punktu widzenia wojny, jak i powojennej odbudowy bardzo ważna. Szkoda, że autor o tym nie wspomina.

DANIA I NORWEGIA

Dania, jak słusznie zauważa Einzig, nie dopuściła się "śmiertelnej obrazy" wobec Niemiec, gdyż nie stawiła zbrojnego oporu. Przy tej okazji autor przypomina, że pacyfiści całego świata stawiali politykę duńską za wzór godny naśladowania: gospodarne to państwo zaniedbywało zbrojenia, koncentrując się na finansowaniu urządzeń społecznych. Ta taktyka Danii przyniosła szkody niepowetowane—wszak opór zbrojny pozwoliłby wówczas Aliantom na obronienie Norwegii. Mimo jednak, że Duńczycy poddali się Rzeszy i mimo, że w Niemczech nie było nigdy nienawiści do małej, nieszkodliwej Danii, nic nie wstrzymuje Niemców od wyzysku i rabunku i na tym terenie. Taktykę niemiecką, symbolizuje tu wiersz napisany przez komendanta oddziału niemieckiego na kwicie wydanym duńskiemu hodowcy, któremu zarekwirowano świnie:

"Der Schein ist dein, das
Schwein ist mein—
Lieb Vaterland magst ruhig sein."

Co znaczy: "kwit jest twój, świnia moja—kochany Vaterlandzie możesz być spokojny." (Ostatnie słowa wzięte ze znanej niemieckiej pieśni patriotycznej znaczą tu to, że Vaterland za świnie nie będzie musiał płacić). Autor może nie wie, że w latach 1914-18 na zaświadczeniach rekwizycyjnych niemieckich podobne utwory poetyckie trafiały się bardzo często. Sumienny dziejopis literatury niemieckiej powinien w przyszłości poświęcić tym utworom poczesne miejsce: jako wyraz ducha niemieckiego są z pewnością najbardziej charakterystyczne.

Rozdział o *Norwegii* zatytułowany jest sensacyjnym skrótem: "Quisling płacony fałszywymi banknotami." Oto pośpiesznie opuszczające Oslo władze norweskie pozostawiły w dobrym stanie drukarnię banknotów z czego oczywiście Niemcy skwapliwie i szeroko skorzystali, wypuszczając nową emisję, która jest całkowicie nielegalna.

HOLANDIA I BELGIA

Mówiąc o *Holandii* autor zaznacza, że bierny opór przeciw okupantom jest w tym kraju prawdopodobnie najsilniejszy. Mimo, że prasa i oficjalne sfery niemieckie straciły aż dwa miesiące czasu—maj i czerwiec—na deklarowanie, że naród holenderski uważany jest przez Niemców za część i odgałęzienie *Herrenvolku*, zdrowy instynkt historyczny kazał Holendrom oprzeć się tym pokusom i kłamstwom.

Kokieterii niemieckiej opierają się również i Belgowie. Tu autor nie tai, że władze francuskie w dużym stopniu przyczyniły się do stworzenia gruntu pod złagodzenie w Belgii nastrojów antyniemieckich. Mianowicie trójmilionową rzeszę uchodźców belgijskich—jak pisze Einzig—władze francuskie pozostawiły bez żadnej opieki. Naturalne rozgoryczenie wykorzystali agenci niemieccy, skłaniając Belgów do powrotu. Wracają tysiącami. Są Niemcom potrzebni, gdyż brak jest ludzi do pracy w przemyśle.

Niemcy przebywający w Belgii mają nakaz zachowywania się uprzejmie. Jest to dla nich przykrością, przykrość ta jednak dość się opłaca. Nienawiść do Niemców według przewidywań autora wybuchnie w Belgii ponownie dopiero wówczas, kiedy ujawni się działanie subtelnych sposobów eksploatacyjnych.

SZANTAŻ I EKSPLOATACJA

W rozdziale zatytułowanym "Europejskie kolonie Niemiec," a traktującym o tych wszystkich krajach kontynentu, które nie podlegają okupacji niemieckiej, ulegają natomiast szantażowi ze strony Rzeszy, autor zauważa, że właściwie eksploatacja tych państw tylko w pewnym stopniu różni się od eksploatacji stosowanej wobec państw okupowanych. Tak na przykład wskutek odcięcia Szwecji od reszty świata, Rzesza jest prawie wyłącznym odbiorcą produkcji tego kraju. W tych warunkach Niemcy mogą Szwecji dyktować ceny.

Po gorzkich uwagach pod adresem Sowietów, (według autora, małostkowa gra Stalina i Mołotowa skończy się pobiciem czerwonej armii przez Niemców) autor rozprawia się z kilku naiwnymi poglądami, tułającymi się jeszcze tu i ówdzie w społeczeństwie brytyjskim.

WSZYSCY NIEMCY SĄ ODPOWIEDZIALNI

Ci, którym się wydaje, że masy niemieckie nie solidaryzują się z okrucieństwami popełnianymi przez administrację i wojsko, powinni zdaniem Einziga, wiedzieć, że "jeżeli niemieckie władze okupacyjne rozstrzeliwują tysiącami Czechów i Polaków, reakcja 90% Niemców na wiadomość o tym mieści się w zdaniu: "Jakiego mocnego i mądrego mamy Führera! umie on sobie dać z nimi radę." Naiwnym, którzy jeszcze ciągle mają nadzieję, że proletariat niemiecki nie zniesie wkońcu ucisku innych narodów i zbuntuje się przeciw swym brunatnym władcom, Einzig przypomina, że zasadniczym dążeniem polityki hitlerowskiej na terenie robotniczym jest postawienie robotnika niemieckiego w pozycji "arystokraty pracy," otrzymującego lepsze zarobki i lepsze stanowiska. Na tym tle powstaje pełna solidarność między hitlerowcami a niemieckimi masami robotniczymi.

Rozważając ponurą perspektywę głodu na kontynencie, autor zupełnie słusznie staje w obronie twardej, ale nieuniknionej decyzji rządu brytyjskiego pełnej blokady kontynentu. Przeprowadzenie tej decyzji sprowadzi wiele cierpień, ale przyśpieszy wyzwolenie, czyli—tym samym—zmniejszy cierpienia. Z drugiej strony jednak Einzig sądzi, że obawa epidemii, rewolty głodowej oraz lęk przed utratą sporej liczby "niewolników" wskutek śmierci głodowej, zmusi władze niemieckie do częściowego przynajmniej żywienia podbitej ludności.

Zdrowa i trzeźwa książka Einziga, napisana jasno i przystępnie, zasługuje na jak najszersze rozpowszechnienie. Doskonale spełni zadania, jakie nakreślił sobie autor: wzbudzi zrozumienie i współczucie dla kontynentu, a jednocześnie ostrzeże wszystkich tych, którzy mają jeszcze jakiekolwiek księżycowe złudzenia.

Ryszard Brynicki

*Europe in Chains, by Paul Einzig. A Penguin Special London-New York, 1940, cena 6d.

W sprawie wydania książki J. Kisielewskiego *"Ziemia gromadzi prochy"*

Wydawnictwo powyższe zostało podjęte z inicjatywy koleżeńskiej, w zrozumieniu wielkiej aktualności dzieła, przedstawiającego w perspektywie wieków obraz zmagań Narodu Polskiego i Słowiańszczyzny Zachodniej z zalewem germańskim.

Fundusze, pozwalające uruchomić druk, zostały zebrane z subskrybcji koleżeńskiej, a zamiast wstępu do nowego wydania postanowiliśmy umieścić na pierwszej stronie jedynie następujące zdanie:

"Książkę tę, wydaną po raz pierwszy w roku 1939 *w Poznaniu, przedrukowano w Szkocji, staraniem żołnierzy polskich, w drugim roku wojny z germańskim najeźdźcą—jako wyraz pamięci i wiary."*

Przewidywaliśmy, że w razie powodzenia książki zysk zostałby obrócony na dalsze wydawnictwa, w którychby się mogła uzewnetrznić wytężona praca myślowa, jaka się wśród wojska naszego obecnie odbywa. Mieliśmy na celu przede wszystkim drukowanie prac nowych, traktując przedruk dzieł już wydanych w drugiej kolejności. Jesteśmy zdania, iż poparcie tej twórczości drogą samopomocy koleżeńskiej jest rzeczą ze wszechmiar wskazaną. Poza przyczynieniem się do narastania współczesnej myśli polskiej, zbiorowy koleżeński wysiłek mógłby w obecnych warunkach stosunkowo wysokiego uposażenia doprowadzić do powstania dość dużego spółdzielczego kapitału wydawniczego, który niewątpliwie byłby cennym wkładem w odbudowę rynku książkowego w Polsce Odrodzonej.

Nie chcąc przedwcześnie nadawać naszym poczynaniom formy towarzystwa czy spółdzielni, zaprojektowaliśmy wydanie książki "Ziemia gromadzi prochy" w drodze subskrybcji koleżeńskiej, jako imprezę, stanowiącą zamkniętą w sobie, niezależną całość.

Brak czasu poza służbą wojskową stwarzał trudności w zajęciu się stroną handlową i administracyjną wydawnictwa. Ponieważ doszło do naszej wiadomości, że członek Rady Narodowej, Stanisław Jóźwiak, wystąpił z inicjatywą stworzenia polskiej placówki wydawniczej, zwróciliśmy się do niego z propozycją komasacji naszych poczynań, zastrzegając się, że druk książki Kisielewskiego chcemy rozpocząć niezwłocznie, nie czekając z tym na stworzenie zamierzonego towarzystwa wydawniczego.

Poseł Jóźwiak, solidaryzując się z naszym poglądem, zechciał się bezinteresownie zająć sprawą handlową i administracyjną wydania naszej książki.

Oddźwięk, jaki wywołało rozesłanie prospektów subskrybcyjnych, potwierdził przypuszczenia, że utworzenie spółdzielni wydawniczej jest sprawą bardzo żywotną. Szereg instytucyj i osób prywatnych zgłosiło chęć poparcia tej inicjatywy pracą i kapitałem. To skłoniło nas do decyzji zawiązania Koła Przyjaciół Książki Polskiej.

Charakter projektowanego towarzystwa oddają najlepiej następujące dwa punkty jego statutu:

p. 3. Zysk z wydawnictw po pokryciu kosztów i zwrocie pożyczek musi być użyty na dalszą działalność wydawniczą Koła.

p. 4. Członkowie Koła nie mogą mieć żadnych dochodów z jego działalności. Władze Koła nie mogą pobierać wynagrodzenia za swoją pracę na rzecz Koła.

Z przyczyn od nas niezależnych towarzystwo o charakterze spółdzielczym nie mogło rozpocząć swej działalności.

Powstała natomiast firma prywatna p. Jadwigi Harasowskiej, pod nazwą "Książnica Polska," stawiająca sobie podobne zadania i cele. Wierząc w szerszość intencyj pani Harasowskiej witamy z zadowoleniem powstanie tej placówki, która na ogólnym tle wydawniczym na obczyźnie jest pozycją niewątpliwie bardzo cenną. Ponieważ niejednokrotnie przedsiębiorstwa prywatne wyzwalały duże zasoby energii zarówno w sensie niematerialnym, jak i czysto finansowym—konkurując w tym z poczynaniami spółdzielczymi—sądzimy, że "Książnica Polska" spełni dobrze nadzieje, jakie wiążemy z jej powstaniem.

Powyższe względy skłoniły nas do przekazania wydawnictwa książki "Ziemia gromadzi prochy" firmie pani Harasowskiej. Zarówno fundusze, jak i zamówienia, które napłynęły, zostały zdane protokólarnie.

Spisana umowa gwarantuje, iż cały zysk zostanie obrócony na dalsze wydawnictwa, zgodnie z naszymi postulatami. W skład komitetu wydawniczego firmy "Książnica Polska" weszło dwóch przedstawicieli wydawnictwa książki "Ziemia gromadzi prochy" z głosem wiążącym w sprawie użycia wyżej wspomnianego zysku.

W związku z tym wszystkie dalsze zamówienia i wszelką korespondencję w tej sprawie prosimy kierować pod adresem:

Książnica Polska (Polish Library) 240, Hope Street, Glasgow. Tel., Douglas 1950.

Zwracamy się do osób, które obiecały swe poparcie projektowanej spółdzielni, aby zechciały go udzielić firmie p. Harasowskiej.

Zaznaczamy, że opóźnienie w ukazaniu się książki "Ziemia gromadzi prochy" nie ma żadnego związku z przekazywaniem wydawnictwa, ale zostało spowodowane wyłącznie trudnościami w uzyskaniu papieru.

Inicjatorzy subskrybcji książki "Ziemia gromadzi prochy."

Z kampanii francuskiej

Trzej Bolesie*

Właściwie było ich znacznie więcej, ci trzej jednak szczególnie utkwili mi w pamięci. Znani byli w kompanii jako: Boleś "biały," Boleś "czarny" i Boleś "szczerbaty."

Na pozór niczym szczególnym się nie wyróżniali. Nie wyróżniali się również swoją młodością, gdyż w kompanii przeciwpancernej, a jak ją w pułku żartobliwie nazywano "harcerskiej" wszyscy byli bardzo młodzi. Nazwę harcerskiej zawdzięczała kompania, niezależnie od młodego wieku strzelców również i temu, że większość z nich oraz wszyscy oficerowie a częściowo i podoficerowie przeszli przez harcerstwo w Polsce lub we Francji.

Wszyscy trzej Bolesie pochodzili z Polski. Wszyscy też byli harcerzami. Boleś "biały" i "czarny" byli Ślązakami. Boleś "szczerbaty" pochodził z Małopolski. Trudno mi powiedzieć który z nich był najstarszy, bo dopiero po rozwiązaniu dywizji, w strefie nieokupowanej, przyznał mi się "szczerbaty," że jeśli chodzi o wiek, to ma wobec mnie nieczyste sumienie.

—"Taż Pan Kapitan by się może bał trzymać mnie w kompanii, gdybym się przyznał, że nie mam siedemnastu lat"—tłomaczył się naiwnie.—"Ale Panie Kapitanie tamte dwa Bolki to były młodsze ode mnie, one tylko do ewidencji podały, że mają więcej"—tłomaczył się dalej ten "najstarszy" z Bolków.

Boleś "biały" znany był w kompanii z powodu swego niezwykłego apetytu. Ku uciesze całej kompanii chodził nieraz po trzeci obiad, a zjadanie dwóch obiadów było u niego zjawiskiem całkiem normalnym. Poza kompanią był on znany jako "speaker" kompanijny. Nie mogąc bowiem z braku głosu (przechodził mutację głosu) śpiewać, jako "dziecko kompanijne," zapowiadał poszczególne numery podczas popisów kompanii w śpiewie. (Trzeba bowiem wiedzieć, że jak na harcerską kompanie przystało, kompania śpiewała znakomicie.) Poza tym był "biały" Bolek bardzo dobrym żołnierzem i doskonałym "dalmierzystą" w poczcie dowódcy kompanii.

Boleś "czarny," taki sam dzieciuch jak poprzednik, miał również swoją sławę. Był wprost nieprawdopodobnym celowniczym. Na strzelaniach ostrych do ruchomego czołga, nie zepsuł ani jednego pocisku, mimo stawiania mu najtrudniejszych warunków. Taki to był poza tym dzieciak i tak był pewny swej armaty i swego strzelania, że gdy pewnego razu umawiałem się z dowódcami plutonów co do ustanowienia nagród dla celowniczych za dobre strzelanie, podszedł nieśmiało do swego dowódcy plutonu ppor. Sz. z prośbą:

"Niech pan porucznik zaproponuje panu kapitanowi puszkę mleka skondensowanego jako pierwszą nagrodę, bo ja papierosów nie palę a wina też nie lubię."

Oczywiście zdobył o co prosił, a podejrzewam, że poczciwy pporucznik Sz. dał mu pocichu drugą puszkę od siebie. Miły ten chłopak miał co najmniej dwóch "ojców" w kompanii. Nie jestem pewien kto go kochał więcej: jego działonowy plutonowy K. czy też dowódca plutonu pporucznik Sz. Wiem jednak napewno, że kochali go obaj i, że byli o niego do pewnego stopnia zazdrośni.

Bolek "szczerbaty" był w plutonie moździerzy, gdzie uchodził za "filozofa." "Szczerbatym" zwali go koledzy z powodu braku jednego z przednich zębów. Wybiłem go sobie "za młodu"—opowiadał.

Co umie i co jest wart jako żołnierz pokazał dopiero na froncie. W bitwie pod D., otrzymuje drużyna moździerzy morderczy ogień karabinu maszynowego z dachu jednej z kamienic. Nie można podnieść głowy, gdyż karabin maszynowy niemiecki niemal zasypuje pociskami jej stanowiska. Stanowiska tego karabinu maszynowego niepodobna wykryć. Obserwacja drużynowego przez lornetkę nie daje wyniku.

Boleś "szczerbaty" obserwuje na własną rękę. Patrzy, patrzy aż wypatrzył: widzi na jednym z dachów miganie światła, jakby się ktoś zabawiał lusterkiem. To nieostrożny Niemiec chcąc sprawdzić skutki swego ognia patrzy przez lornetkę, słońce odbija się o soczewkę lornetki i powoduje miganie, słusznie rozumuje nasz szczerbaty. Dziwi się tylko dlaczego nie widać samego Niemca? Bierze karabin i czołga się, aby się zbliżyć do owej kamienicy i Niemca wypatrzyć. I wypatrzył go: siedział na czerwonym dachu między dwoma kominami, a dla zamaskowania się ubrany był w czerwoną koszulę czy też sweter.

Po kilku celnych strzałach "szczerbatego" spada z dachu najpierw karabin maszynowy a potem jego właściciel.

Tego samego dnia zostaje ciężko ranny dowódca plutonu moździerzy aspirant Sl. Otrzymał postrzał w twarz, szyję i obojczyk. Podejście do niego wydaje się niemożliwe, ogień niemieckich karabinów maszynowych jest bardzo silny, uniemożliwiając wszelki ruch. Znów nasz "szczerbaty" jest jednym z tych, którzy pełzając w największym ogniu, wyciągają bezwładnego aspiranta w bezpieczne miejsce.

Gdy wieczorem tego dnia wróciłem do swego pocztu i opowiadałem o czynach szczerbatego, Boleś "biały" posmutniał.

—"Ja swoim dalmierzem nikogo nie utłukę" odpowiedział, gdy go sierżant szef kompanii zapytał, co mu dolega.

Tymczasem Boleś "czarny" pokazał, że strzela dobrze nie tylko na ćwiczeniach bojowych. W tej samej bitwie następnego dnia, próbują Niemcy rzucić kładkę przez kanał. Ponieważ podejście piechoty niemieckiej było niemożliwe, Niemcy próbują szczęścia w zaskoczeniu przy pomocy czołgów. Rzucają więc na kładkę samochód ciężarowy z materiałem i saperami oraz trzy czołgi; miały one przez zaskoczenie podjechać do zerwanego mostu, opanować przedpole ogniem, pod którego osłoną, saperzy niemieccy przerzucić mieli kładkę.

Na nasze szczęście w pobliżu stała armata Bolesia "czarnego." Dowódca plutonu w porę spostrzegł zamiar Niemców a ponieważ z zajmowanego stanowiska nie można było ich zamiaru udaremnić, przerzuca armatę przy pomocy ciągnika w pobliże mostu. Następuje po obu stronach kanału wyścig, kto będzie prędzej naprzeciwko mostu niemieckie czołgi czy nasza armata. Wszystko to trwa dosłownie sekundy.

Armata jest o kilka sekund prędzej. Boleś "czarny" ma nareszcie okazję strzelania do prawdziwych czołgów i pokazania swej klasy strzeleckiej: z otwartego stanowiska, pod szalonym ogniem niemieckich karabinów maszynowych zziajany od pośpiechu odprzodkowywania armaty, rozbija wszystkie trzy czołgi oraz jadący za nimi opancerzony samochód.

Niestety tego samego dnia dostaje się młody bohater do niewoli niemieckiej. Pocieszam się tym, że ma on tam w obozie niemieckim dwóch ojców, dwóch na prawdę kochających go przełożonych: dowódcę plutonu i działonowego.

Gdy wieczorem opowiadałem szefowi kompanii i swemu pocztowi o losach Bolesia "czarnego" oraz o jego wyczynie, "biały" Boleś słuchał ze łzami w oczach. Prosił mnie potem na osobności, abym go zmienił z obowiązku "dalmierzysty." Mówił mi:

—"Jestem przecież równie dobrze wyszkolony jako celowniczy, a jak pan kapitan pamięta strzelałem nie najgorzej."

Obiecałem spełnić jego życzenie. Niestety obaj nie orientowaliśmy się jeszcze owego wieczoru w naszym ogólnym położeniu. W cztery dni później żegnałem się z nim w Wogezach. Miał iść w ślad za mną z inną grupką.

—"Ja panie kapitanie z kompasikiem w ręku poprowadzę całą grupę"—powiedział mi na dowidzenia.

Bardzo się obawiam czy mu się to udało. Nie widziałem go potem we Francji nieokupowanej, nie widzę go również tutaj.

Bolesia "szczerbatego" pożegnałem nad morzem, nie wiem czy już przyjechał.

Bolesiu "szczerbaty," Bolesławie R., jeśliś przyjechał odezwij się. Redakcja "Polski Walczącej" zna mój adres.

Józef Tafelski

* Wspomnienie z walk we Francji kompanii przeciwpancernej 2-ego pułku grenadierów wielkopolskich.

Z kampanii brytyjskiej

Trzy wycieczki do Francji

Pierwsza była niespodziewana i mimowolna. Wystartowaliśmy na zwykły patrol nad ujście Tamizy: podobno jacyś "bandits" zbliżali się w tym kierunku. Chmury były dość gęste, ale przez liczne dziury można było obserwować ziemię.

Zapatrzyłem się właśnie w wysepkę Sheppey, bliską sercom pierwszych polskich lotników w Anglii: tam była nasza pierwsza stacja, na której spędziliśmy kilka miesięcy, oswajając się powoli ze wszystkim, co było na początku nowe, obce, dziwne i niezrozumiałe. Pierwsze kłopoty w sklepach, gdzie nawet słownik (z wymową) nie mógł poradzić: zamiast siatki do włosów przynoszono skarpetki, ale z tak życzliwą uprzejmością, że nie miało się serca odmawiać. Pierwsze znajomości i spotkania, naznaczane w bardzo elementarnej, nie mniej jednak nie całkiem poprawnej angielszczyźnie: "Jutro o szóstej godzinie"—wyraził mój przyjaciel: "*To-morrow—six times*," co wywołało w dotyczącej osobie mieszane uczucia nadziei i obawy.

Tak sobie rozpamiętywałem, lecąc nad wyspą Sheppey, kiedy nagle spostrzegłem, że mój *leader*, Taffy robi gwałtowny skręt w prawo w dół; automatycznie zrobiłem to samo razem z nim, podobnie utrzymał się przy jego prawym skrzydle Czech, Jarek. W ten sposób cała nasza sekcja odłączyła się od eskadry, pikując między chmury. W pierwszej chwili myślałem, że Taffy znalazł w swoim silniku coś nie w porządku i czekałem, co powie przez radio. Ale w następnej chwili zobaczyłem przed nami przemykającą wśród chmur czarną sylwetkę Dorniera 215. Wiał na pełnym gazie, podobnie my za nim.

Niestety, było to nisko, około 2,000 stóp, gdzie Hurricane ma tylko dwie trzecie swoich możliwości. Co gorsza, Dornier to ukazywał się, to znikał w gęstych obłokach. W końcu osiągnęliśmy jaką taką odległość strzału. Strzelec Dorniera otworzył ogień już przedtem z śmiesznie dalekiej odległości, zostawiając wątłe smużki dymu. Jarek poszedł nagle świecą do góry i zaatakował Dorniera, pikując z boku. Postanowiłem zrobić to samo od lewej strony i—nagle znalazłem się w nieprzeniknionej chmurze. Wyślizgnąłem się z niej, próbując utrzymać dotychczasowy kierunek. Nie było śladu po całym towarzystwie.

Ciągnąłem przez chwilę wciąż na pełnym prawie gazie, rozglądając się tęsknie za towarzyszami. Przypomniała mi się Druga Zasada RAFu: "Pilot, który odłączył się od formacji, nie wraca do bazy."

W pewnej chwili spojrzałem w dół: była tam właśnie Francja. Zrobiło mi się jeszcze bardziej smutno. Wskoczyłem między chmury i szybko zrobiłem zwrot na północo-zachód. Jednocześnie ustaliłem najbardziej ekonomiczną kombinację zużycia benzyny.

Wkrótce usłyszałem przez radio, jak Jarek prosił naszą *operation* o kurs do bazy. Nieco potem zobaczyłem znany i tak upragniony cypel. W kwadrans potem lądowałem, bardzo zawstydzony zgubieniem Dorniera i bardzo szczęśliwy z powrotu.

Dopiero następne dwie wycieczki były zamierzone i turystycznie przemyślane. Przed startem opróżniliśmy kieszenie z wszelakiej zawartości,—papiery, fotografie, kalendarzyki, nawet bilety autobusowe mają swoją wymowę w razie przymusowego lądowania na nieprzyjacielskim terenie. Jeszcze nad Anglią spotkaliśmy się z kilkoma innymi eskadrami i razem w kilkadziesiąt maszyn, z wielkim szumem i ostentacją zaprezentowaliśmy się nad okupowanym terenem. Dołem chodziły Blenheimy i coś tam rąbały na uprzednio już dobrze podziurawionych miejscach. Pogoda była wyjątkowo czysta i można było widzieć wyraźnie całą, ospowatą od nocnych bombardowań linię wybrzeża od Ostendy po Boulogne.

Żaden myśliwiec niemiecki nie wystartował przeciw nam. Tylko w pewnej chwili zobaczyłem, że mój poprzednik w szyku robi jakieś zygzaki, jakieś dziwne "uniki." Dopiero po wylądowaniu dowiedziałem się, że artyleria grzała. Niebezpieczeństwo nie istnieje, póki się o nim nie wie. Lub innymi słowy: głupim szczęście sprzyja.

Następna wyprawa była podobna, różniąc się jedynie pogodą i wysokością lotu. Było trochę chmur i powietrze, które Anglicy nazywają: "*thick*." Około 25,000 stóp zaczęliśmy rysować na niebie dobrze już wszystkim znane białe smugi. Ale trudno sobie wyobrazić, jak piękna jest taka smuga pod słońce, kiedy się leci tuż pod nią!—Oślepiająco jasny ogon komety na ciemnym, granatowym niebie.

Niestety, na około 30,000 stóp moje wzruszenia estetyczne zostały zakłócone innym, mniej przyjemnym zjawiskiem wysokościowym: filiżanka herbaty, nierozważnie wypita przed samym startem stała się wiadrem ołowiu w żołądku na tle niskiego ciśnienia zewnątrz.

—Dobrze mi tak!—powiedziałem i ze złości na siebie samego zmniejszyłem sobie rację tlenu o 5,000 stóp. Byliśmy już około dwóch kilometrów powyżej Everestu. Podniebienie, jak z waty, kiedy je przycisnąć językiem. Podniebienia można nie przyciskać, ale co zrobić z tym bladym (od: *bloody*) ołowiem w żołądku!

W końcu zaczęliśmy schodzić, ołów powoli zelżał, w uszach zaczęło zatykać, ale na to łatwa rada: przełknąć ślinę. Przez świetlistą mgłę widać było nierealne, jak z baśni, ujście Tamizy, dymy, okrywające Londyn i morze balonów nad całym obszarem.

Przyjemny lot. Jak każdy inny. I, jak każdy inny,—prosty i codzienny. Dopiero nazajutrz z gazet dowiadywałem się, jak to się imponująco nazywa: "Przesunięcie Frontu Powietrznego Za Kanał." Oh, oh!

Gustaw Nierad



Załoga jednego z polskich dywizjonów myśliwskich po locie

Droga Iraku od przymierza do wojny

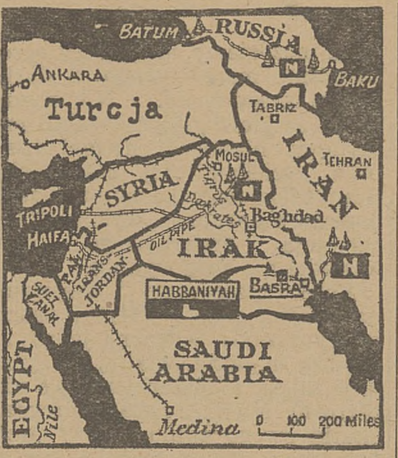
Państwo tureckie przez cały wiek XIX było nazywane "chorym człowiekiem." Przez cały XIX wiek spadek po nim był otwarty. Rozpad postępował jednak powoli. Grecja uzyskała niepodległość na samym początku wieku, pod koniec jednak przegrała wojnę z Turcją, choć uzyskała Kretę po tej przegranej wojnie. Gdy w piątym dziesiątku lat Rosja sięgnęła po Konstantynopol Anglia, Francja i Sardynia obroniły Turków. Dwadzieścia lat później jednak Serbia i Rumunia zupełnie się usamodzielniły, Bułgaria zaś z prowincji tureckiej stała się niezależnym państwem. Wojny bałkańskie w dalszym ciągu uszczupliły terytorium sułtańskie.

Przez cały jednak ten wiek XIX jedynie europejskie posiadłości Turcji wchodziły w grę. Dopiero koniec pierwszej wojny światowej zakwestionował władzę Turcji w jej prowincjach azjatyckich i afrykańskich. Pierwotne plany koalicji sięgały bardzo daleko. Z Europy Turcja miała zniknąć zupełnie. Konstantynopol początkowo przeznaczony był dla Rosji później zaś, gdy Rosja się rozpadła myślano o mandacie dla Stanów Zjednoczonych, czy innego państwa. Włochy miały apetyt na część Anatolii. Grecja zaś zaczęła nową wojnę już w 1919 r. o posiadanie brzegów Azji Mniejszej. Zwycięstwa Mustafy Kemala rozwiały te daleko idące plany. Anatolia i Azja Mniejsza pozostały tureckie, turecki pozostał Konstantynopol. Turcja utraciła jednak Egipt, którego związek z Turcją był i tak zresztą od pięćdziesięciu lat raczej formalny. Utracone zostały prowincje arabskie. Arabi bowiem pod wodzą Emira Mekki, Husseina, połączyli się byli z Anglikami. Wojska arabskie walczyły przeciw wojskom tureckim. Hussein, a szczególnie syn jego, Emir Feisal, wierzyli, że pod ich wodzą powstanie z powrotem wielkie państwo arabskie.

Tak się jednak nie stało. Z arabskich prowincji Turcji wykrojono trzy, a właściwie nawet cztery odrębne terytoria: Syrię, Irak, oraz Palestynę i Transjordanię. Terytoria te nie zostały uznane jako państwa niepodległe, lecz jako terytoria mandatowe, przyczem mandat nad Syrią otrzymała Francja, mandat nad Irakiem oraz Palestyną i Transjordanią Wielka Brytania. Mandat był jednak w zasadzie czasowy, przewidywano go do momentu, kiedy terytoria te nie wykażą zdolności do samodzielnego rządzenia się.

Rozwiązanie to pozostawiło niewątpliwie duże rozgoryczenie w niektórych sferach arabskich. Słynny pułkownik Lawrence, który był duszą powstania arabskiego podał się na znak protestu do dymisji. Jednak niewątpliwie rozwój wypadków zarówno i w Syrii jak i w Iraku wskazał na to, że o dojrzałości ludów arabskich do niepodległości trudno było mówić. Zresztą—pomijając kwestię podziału—wkrótce się okazało, że — dla Wielkiej Brytanii — system mandatowy nie był bynajmniej przykrywką dążności zaborczych.

Na tron Iraku Wielka Brytania powołała bohatera narodowego Arabów: Emira Feisala. Od pierwszej chwili mieszanie się Brytanii do rządów było ściśle ograniczone. Irak miał swój rząd, miał swój parlament. Jednak nawet ta ograniczona interwencja brytyjska wywoływała ciągłe fermenty. Londyn doszedł więc do wniosku, że jednak pełna niepodległość będzie najlepszym rozwiązaniem. Jeszcze w 1926 roku Anglia proponowała Irakowi nowy układ co do mandatu, ograniczający jeszcze bardziej rolę państwa mandatowego i przewidujący trwanie mandatu na lat 25, a już



N—pola naftowe L—lotnisko

w 1930 zgodziła się na zakończenie mandatu.

Zamiast mandatu zawarte zostało przymierze. Irak uzyskał zupełną niepodległość i w roku 1932 wszedł do Ligi Narodów. Przymierze zawierało dwa bardzo ważne warunki. Przede wszystkim w ręku angielskim pozostały trzy lotniska z prawem utrzymywania na nich wojsk lotniczych. Następnie na wypadek wojny Wielka Brytania miała prawo da lądowania wojsk celem utrzymania bezpieczeństwa komunikacji.

Warunki te mówią same za siebie. Przede wszystkim przez Irak prowadzi droga do Palestyny i Suezu, droga ta więc musi być zabezpieczona. Dalej Irak otrzymał na mocy postanowienia Ligi Narodów wilajet Mossulu, w którym znajdują się niezwykle bogate złoża naftowe. Nafta ta rurociągami szła do Haify oraz do Tripoli w Syrii (ten rurociąg teraz jest oczywiście przecięty). Usadowienie się więc wrogiej armii w Iraku byłoby dla Imperium poważnym niebezpieczeństwem.

Pamiętać należy, że jeszcze przed pierwszą wojną światową Niemcy kierowali łakome oczy właśnie na Irak. Wszakżeż stolica Iraku, Bagdad, to nie tylko Bagdad Haruna al Raszyda i bajek tysiąca i jednej nocy, to taże projektowany koniec linii kolejowej Berlin-Bagdad, która miała Niemcom dać panowanie nad Wschodem. A sam Irak, jako terytorium, to przecież nie co innego, jak dawny Babilon, który dzięki swej sytuacji geograficznej był przez pewien czas panem Azji Mniejszej.

Z chwilą osiągnięcia pełnej niepodległości stosunki anglo-irakijskie zdawało by się, powinny już były być zupełnie harmonijne. W 33 roku jednak zmarł nagle Emir Feisal. Następcą jego było kilkoletnie dziecko. Zaczęły się ostre i długotrwałe walki wewnętrzne o władzę. Cóż więc dziwnego, że jednym z argumentów w tych walkach stała się znowu licytacja nacjonalistyczna, hasło panarabskie, hasło nienawiści do Anglii i Francji, które przeszkodziły połączeniu się plemion arabskich.

Z chwilą zaś dojścia do władzy Hitlera zaczęła się robota niemiecka i włoska. Studentów z Iraku zapraszano na darmowe studia do Niemiec, turyści i kupcy niemieccy zjeżdżali do Iraku. Robocie tej sekundował Mussolini. Sprzyjała tej robocie walka arabsko-żydowska, która wybuchła w Palestynie. W tej walce Niemcy i Włochy pieniędzmi i bronią były po tej samej stronie.

Mimo to jednak linia polityczna Iraku nie uległa załamaniu. Podpisanie w Saadabada traktatu przymierza z Turcją, Iranem i Afganistanem, to jest z krajami, które były raczej związane z Wielką Brytanią było dowodem, że propaganda włosko-niemiecka celu swego nie osiągnęła.

Tak było do ostatniej chwili. Po upadku Francji jednak widocznie się coś popsuło. Kilka tygodni temu nastąpił w Iraku jeszcze jeden zamach stanu. Regent zmuszony został do ucieczki, a na czele rządu stanął Raszid Ali, przyjaciel Wielkiego Muftiego Jerozolimy, znany ze swych sympatii dla hitleryzmu.

Wielka Brytania tego zamachu nie uznała, ale też początkowo nie uczyniła nic, by go zlikwidować. Widocznie liczono w Londynie na to, że Raszid Ali zawacha się przed otwartą walką. Posłano jednak do Iraku — zgodnie z literą traktatu — wojska. I Raszid Ali temu się nie sprzeciwił.

Niebawem jednak sytuacja się zaostrza. Raszid Ali protestuje przeciwko dalszemu lądowaniu wojsk. Jednocześnie zaś wojska irakijskie zaczęły otaczać lotniska angielskie. Konfikt wybuchł w ostatnich dniach minionego tygodnia.

Należy mieć nadzieję, że zlikwidowanie jego nie napotka na trudności. Wojska angielskie są już w Iraku, a mimo, że Raszid Ali i jego zwolennicy żonglują hasłami patriotycznymi i panarabskimi ludność Iraku chyba rozumie, że są to po prostu Quislingi. Wszakże w Palestynie samej w tej chwili o walkach arabsko-żydowskich nie słychać.

Znakiem zapytania jest jednak Syria. Syria była zawsze centrem niepokojów arabskich. Arabi syryjscy, najbardziej wykształceni, zawsze szukali dla siebie roli przywódców ruchu panarabskiego. Damaszek był centrum tego ruchu. Póki Francuzi mocno trzymali Syrię w ręku niebezpieczeństwa nie było. Ale któż może zaręczyć dzisiaj, czy Francuzi potrafią, i czy nawet zechcą oprzeć się lądowaniu wojsk niemieckich w Syrii?

Michał Prozor

ABISYNIA

Wojownicy i ascari

Każdy Abisyńczyk uważa się za wojownika i jest nim rzeczywiście. Cały szereg cech dodatnich czyni z niego wcale groźnego przeciwnika. Posiada jednak i wady zmniejszające jego wartość w dość znacznym stopniu.

Wysoki, bardzo szczupły, Abisyńczyk ustępuje przeciętnemu Europejczykowi pod względem siły mięśniowej, ale za to góruje nad nim bardzo znacznie swą wyjątkową wytrzymałością na głód i zmęczenie. Przez długie okresy potrafi żyć, jedząc tylko suszone mięso, które nosi pocięte na długie wąskie paseczki, związane w pęk i przymocowane do pasa oraz placki z dury (rodzaju prosa). Te ostatnie sam sobie piecze z mąki, noszonej w niewielkim woreczku, również przy pasie. Jeśli, z jakichkolwiek powodów, nie może rozpalić ognia, dolewa do mąki trochę surowej wody i pije tę kleistą mieszaninę. Całymi tygodniami może się obchodzić bez wszelkiego zaopatrzenia, jedząc tylko to, co ma przy sobie.

Jego zdolność marszowa jest zupełnie niezwykła. Wieśniak abisyński podróżuje zwykle pieszo i to na przemian idąc lub biegnąc po 10-15 kroków. Daje to przeciętną szybkość marszu 6-7 km. na godzinę. Idąc zwykle trzyma laskę, dzidę lub strzelbę położoną poziomo na karku, a obie ręce założone na nią. Ma to podobno rozszerzać klatkę piersiową i ułatwiać przez to chodzenie.

Ta możność bardzo szybkiego maszerowania ma szczególnie wielkie znaczenie w kraju, w którym Europejczyk robi zaledwie 3 km. na godzinę, a środki mechaniczne w bardzo wielu miejscach nie mogą być użyte.

Bronią białą władają Abisyńczycy bardzo zręcznie, są do tego od dziecka zaprawieni. Ich krótki oszczep do rzucania, dłuższa nieco dzida, obosieczny nóż czy też sierpowata, z prawej strony noszona szabla stanowią w walce wręcz broń bardzo niebezpieczną. O walkę wręcz nie jest trudno, nawet w teraźniejszych czasach, bo pokryty i pełny kryjówek teren sprzyja zaskoczeniu z najbliższej odległości nawet w biały dzień.

Będąc zapalonymi myśliwymi, Abisyńczycy są dobrymi strzelcami. Broni palnej zawsze mieli dużo. Przed poprzednią wojną wysyłano na sprzedaż do Abisynii znaczne ilości karabinów jednostrzałowych, wycofanych z wojsk europejskich, najwięcej może francuskich karabinów systemu Gras, wycofanych z użytku w ósmym dziesiątku lat przeszłego stulecia. Podczas wojny 1935-36 roku zakupili dużą ilość karabinów nowoczesnych.

Znaczna część tej broni musi jeszcze być w posiadaniu ludności, bo Włosi jej nie rozbrajali w obawie zbyt wielkiego niezadowolenia, gdyż podług poglądów miejscowych każdy wolny człowiek musi posiadać broń.

Jeśli chodzi o stronę moralną, to przyznać trzeba przede wszystkim, że Abisyńczycy są odważni, nawet bardzo odważni. Zdarzyło mi się być na polu bitwy wkrótce po natarciu abisyńskim, wykonanym o świcie. Szli na przód aż padli wszyscy. Ostatnie trupy leżały w odległości 8 metrów od stanowisk karabinów maszynowych. Na to, żeby powstrzymać nacierającego Abisyńczyka trzeba go zabić, bo inaczej będzie, pomimo najsilniejszego ognia, szedł na przód, dążąc do walki wręcz.

Jest odważny, ale w pewnych tylko warunkach. Musi czuć towarzyszy koło siebie, niemal musi utrzymywać czucie łokciami. Bardzo niechętnie walczy w rozproszeniu, jeszcze bardziej sam. To właśnie było powodem ich ciężkich strat podczas wojny z Włochami. Szli śmiało, szli kupą i gęsto padały trupy pod ogniem broni maszynowej.

Drugą cechą ujemną etiopskiego wojownika jest niechęć do walczenia w nocy. Pochodzi ona po prostu z obawy przed złymi duchami, które grasują po nocy i stanowią znaczne niebezpieczeństwo. Dlatego wszelkie działanie nocne jest uważane za wielkie bohaterstwo. Znalazło to widomy znak w pochwach ich szabel: jeśli pochwa jest zielona oznacza to, że właściciel ma nadzieję zabicia człowieka, jeśli jest czerwona, to człowieka już zabił, jeśli jest niebieska, to zabił kogoś w nocy, a to już świadczy o dużej jego odwadze.

Niechęć do walki w samotności lub w małych grupach, jak również strach przed nocą w znacznym stopniu zmniejszają szanse prowadzenia wojny partyzanckiej, do której się teren tak doskonale nadaje. Może jednak dobre kierownictwo potrafiło by te dwie wady usunąć, a przynajmniej złagodzić.

Inną poważną wadę stanowi dążność do rozchodzenia się do domów wrazie jakiegokolwiek niepowodzenia. Wskutek niej oddział pobity bardzo łatwo znika zupełnie.

Ponieważ oddziały tubylcze na służbie włoskiej w Abisynii są złożone z tychże wojowników etiopskich, można do nich zastosować wszystko to, co się o tamtych powiedziało. Różnicę stanowi ujęcie ich w karby dyscypliny wojskowej i wyszkolenie na europejski ład.

Istnieją dwa zasadnicze rodzaje wojsk tubylczych: ascari i bande armate. Pierwsi są to regularni żołnierze zorganizowani po europejsku. Oficerami są wyłącznie Włosi, ale podoficerami mogą być i tubylcy (istnieją dla nich trzy stopnie podoficerskie). Jednakże w ogólnej hierarchii wojskowej tubylczy podoficer stoi niżej od białego szeregowca i musi mu salutować.

Ascari, co we wszystkich tamtejszych narzeczach znaczy po prostu żołnierze, są niezwykle przywiązani do swych dowódców, ale tylko każdy osobiście do swego. Kiedy więc dowódca kompanii polegnie, nowemu opanować żołnierzy trudno—jest on dla nich obcym człowiekiem. Dowódcy swego ascari nie opuszczą nigdy, ale tylko pod warunkiem, że on będzie w natarciu pierwszy, w odwrocie ostatni, w przeciwnym wypadku nie będą go wogóle słuchać.

Pod wieloma względami są jak dzieci. Kiedyś zauważyłem, że maszerująca kompania ciągle, monotonnie śpiewa tych samych kilka zdań. Spytałem znajomego oficera, co oni śpiewają. Odpowiedział mi, że słowa tej pieśni znaczą: "Nasz kapitan jest bardzo odważny, bardzo piękny i bardzo wysoki, jest o wiele lepszy, niż kapitanowie sąsiednich kompanii."

Drugi rodzaj wojsk tubylczych —bande armate, są to po prostu grupy po około 500 ludzi, często nieumundurowane a mające tylko kolorowe turbany lub opaski, jako znaki rozpoznawcze.

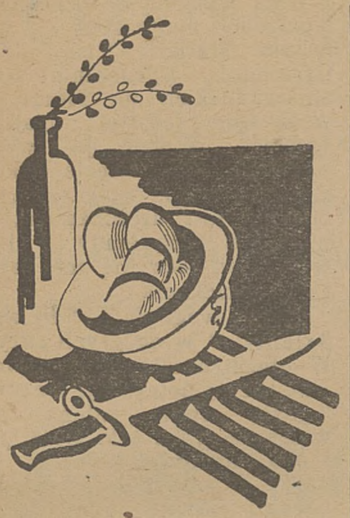
Taką "bandą" dowodził zwykle major lub kapitan, mając do pomocy dwóch poruczników lub podporuczników i, czasem, paru podoficerów. Oczywiście wybierano oficerów co najlepszych. Bandy oddały podczas wojny wcale poważne usługi jako oddziały rozpoznawcze.

Władysław Dziewanowski

Por. poprzednie artykuły cyklu: "Ludność" w nr. 10, "Teren" w nr. 17 "Polski, Walczącej."

Z życia obozów

Wielkanoc w cekaemach



Wiosną dyszało szkockie morze i wiosnę przynosił wiatr, chociaż w tym przyjaznym kraju pogoda jest nader kapryśna. W kwietniowym powietrzu—czystym, złotym, a błękitnym—połyskiwała wieża starego uniwersyteckiego kościoła Zbawiciela.

I odczuwało się w podźwiękach zegarów z nad tego uniwersyteckiego miasta bijących — Dzień Zmartwychwstania Pańskiego. Atmosferę wielkanocną. Wielkiej zaiste Nocy, kiedy ciemność i rozpacz beznadziei zostają olśnione faktem, że jednak na przekór zawiści, złości i zbrodni Ukrzyżowany Chrystus zmartwychwstaje, niosąc światu nową erę Szczęścia. Triumfu dobra.

W Wielką Sobotę—po porannych ostatecznych porządkach—udajemy się do hallu kościoła Wszystkich Świętych. Przed nami stoją zające. Za nami stoją zające. My—karabiniarze—pośrodku. Wiadomo: kaemy. Na czele tej zbiórki wszyscy oficerowie batalionu.

Ma przyjechać generał—dowódca Brygady i złożyć osobiście życzenia zgromadzonej wiarze żołnierskiej. Wszystko tedy murem stoi w oczekiwaniu. Lekki szmerek pobrzmiewa po sali.

Naraz gwar cichnie, jakby nożem uciął. Ponad ciszę wybiega to jedno, a tak ważkie w żołnierskim życiu, słowo:—Baczność! Jeden stuk. Baczność! Na progu, dowodzący całością oficer, zdaje generałowi raport. I po chwili przed naszymi szeregami staje energiczna sylweta generała—dowódcy Brygady.

"Moi drodzy"—rozpoczyna—"przybyłem, aby Wam złożyć życzenia świąteczne" . . . I kilkunastominutowe, zamaszyste, a serdeczne przemówienie o służbie, o tym, że z baonu jest zadowolony (jakże—to nasz baon), że zbliżają się święta wielkanocne, drugie święta nasze poza krajem. W miarę tych słów robi się jeszcze bardziej cicho. Słychać nieomal jak słowa przelatują. I nie ważne jest odtworzenie tej generalskiej przemowy, ważny jest styl względem braci żołnierskiej. Styl szczerości i zrozumienia.

A potem—od dowódcy baonu aż do sotatniego strzelca, karabiniarza czy zająca—do każdego generał podchodzi, z każdym wymienia uścisk ręki. Tego się zapyta, temu bystro w oczy zajrzy. Jak w głąb. Że tylko słychać trzask obcasów przy sztyftowaniu się do postawy na baczność. Trzepoczą ręce przy furażerce w momencie salutowania.

Wreszcie, na zakończenie życzeń, już odchodząc, jeszcze jednym zdaniem zwraca się generał do żołnierstwa: "A pamiętajcie, gdy jutro dzielić się będziecie jajkiem, o kraju, bo my tu z kraju i dla kraju." . .



Uroczystość trwała krótko, ale pozostawiła w karabiniarskich łepetynach ładunek rzetelnego wzruszenia. Słowa proste, a bezpośrednie, jakie żołnierzowi są dziś potrzebne. Wprawdzie żołnierz przebywa dziś poza krajem ojczystym, ale wroga niszczyć jest każdej chwili gotowy w imię kraju, w imię walki i krzywd zadawanych krajowi, a tak wielkich, a tak trudnych do wyrównania, chociażby niewiadomo ile niemieckiej krwi pociekło.

Tymczasem w rejonie zakwaterowania "Pampuch" i "Funt Szterling" — przy poparciu i zrozumieniu naszego "Brwionoścy" — przygotowują dekorację sali jadalnej. A więc: baranek, wycięty z papieru na jednej ścianie, w niszy zaś okiennej żołnierz na placówce, też z papieru. A naokoło kolorowe fantazyjne przybrania.

Po godzinie czwartej przybywa ksiądz kapelan i poświęca zastawiony stół. Skromne żołnierskie święcone. Krótka ceremonia. Modlitwa. Pokropienie darów Bożych wodą święconą. Parę okolicznościowych słów. .. Temu i owemu szczęki się zacisnęły. Wiadomo czemu. Ileż by ze siebie ten i ów karabiniarz dał, aby to poświęcanie odbyło się gdzieś przy kościele Świętej Trójcy w Warszawie, przy kościele Bożego Ciała w Krakowie, przy kościele Bernardyńskim we Lwowie. . . Ileż, ileż by dał. . . Dużo by dał i da jeszcze istotnie wiele. Ale i przyjdzie, bo przyjść musi ów wielki Dzień święconego w Warszawie, Krakowie Lwowie, Poznaniu, Gdańsku, Wilnie, Opolu. Jak długa i szeroka jest ziemia polska.

Święcone — święconem, ale służba—służbą. Jedne plutony schodzą ze służby, drugie na służbę idą. I piszący te słowa idzie odbierać służbę w kompanii. Bo to przecież odcinek. Siły polskie czuwają i czekają. Nasze kaemy są gotowe. Przychodźcie, Niemiaszkowie, zapoznać się z celnością naszego strzelania!

Na próżno ucho pragnie ułowić "kalafiorki" dalekiej Polski. Jest też kłopot z baziami. Bo co szkocka wierzba—to nie polska. Jednak "Wicki," "Stasiki," "Majchrzoki," czy "Krzipki" —chłopcy na schwał, a przedsiębiorczy—znajdują i wierzbę, podobną do polskiej. Nawet wytrzasnęli bukszpan.

I od tej zieleni zaleciało polską Wielkanocą. A kiedy patrzało się w owe bazie, w lśniące listki bukszpanu—to nawet i widziało się, może jedynie przez łzy, i matkę-staruszkę, siwą w Warszawie, i bliskich, i przyjaciół i znajomych stamtąd. Z tego najpiękniejszego kraju na świecie—z Polski. Dla której ta wiosna jeszcze, jeszcze nie jest wiosną ostateczną.

Po przykładnym spędzeniu reszty Soboty, zakończonej cudownym przedzierzgnięciem się plutonowego Karola, zwanego Posłem, w pieśniarza kompanii, a tenora kompanii "Kurdebelka" w trąbę od strąbienia się—przyszła niedziela. Niedziela Zmartwychwstania.

Pomyślało się że tak jak po tygodniu męki Chrystusowego ukrzyżowania nadszedł dzień triumfu—tak i po dniach polskiej męki krzyżowej nadejdzie dzień wolności. Wielki i święty. Ale biada będzie wówczas narodowi niemieckiemu . . .

Po porannym nabożeństwie, na progu Dnia Zmartwychwstania Pańskiego—święcone. Dla części kompanii, idącej na służbę, przedpołudniem. Dla części kompanii, schodzącej ze służby, popołudniu.

Przy bielą krytych stołach zasiadła brać karabiniarska. Sztywna, baczna, ale i już pokaźnie rozkrochmalona. Jak to bywa w cekaemach.

Wobec choroby dowódcy kompanii—zagaja święcone w paru słowach zastępca, por. Wł. Odczytuje rozkaz z życzeniami od dowódcy baonu. Przekazuje życzenia nieobecnego wskutek choroby kpt. Ch. Życzy braci karabiniarskiej Alleluja. Życzy tego, co każdy z nas myśli, śląc stroskane myśli w tej chwili do tych, co tam w kraju giną i walczą. Nie poddają się. Nie ugną się nigdy, przenigdy, albowiem wierzą w Polskę. Bo postokroć krwawym wysiłkiem codziennego dźwigania kamieni niewoli—zbliżają się do kraju wolności.



"Fryderyk Wielki," który jest aktualnym zastępcą nieobecnego wobec choroby szefa—wyraża dowódcy kompanii nasze życzenia.

Uściski dłoni. Rozpoczyna się dookolne obdzielanie jajkiem. Por. W. przystępuje do każdego z obecnych i z każdym się dzieli. Dowódcy plutonów to samo. I my, pośród siebie w drużynach i karabinach. Jako prawi karabiniarze. Jako zadziorne polskie kaemy.

Dzielę się jajkiem wokoło z przyjaciółmi i sąsiadami. Z porucznikiem "Hefajstosem" i "Bolkiem od nerek," z podchorążym "Mielko" i z "Wickiem," z "Lordem P" i "Kumoroszczakiem," z Emanuelem i Ludwikiem i z kumplami z sąsiedniej drużyny. Dzielę się również jajkiem z podchorążym "Lipka," a podchorążego "Mozolnika," któremu okolicznościowo przygadałem, też obdarowuję jajkiem.

W międzyczasie brać karabiniarska otrzymuje ciepłe suweniry—skarpetki. To z funduszów, nadesłanych przez amerykańskich przyjaciół por. Juliana R. Bóg Wam zapłać, drodzy Rodacy z za oceanu!

Nieobecnym na tej rodzinnej uroczystości kompanijnej, kapitanowi i szefowi, zebrani proszą tych, co jadą z nimi się zobaczyć w szpitalu, o wyrażenie jak najlepszych karabiniarskich życzeń świątecznych. . . .

Nad morzem, na placówce w pierwszej linii.—Pod wieczór słychać samochód. Kto zamąca ów głęboki Holyday? Przybył nasz generał-dowódca Brygady ze swym adjutantem, aby i czuwającym na odcinku karabibiarzom złożyć życzenia, podzielić się staropolskim zwyczajem jajkiem wielkanocnym.

Dzień zaś prawdziwie wiosenny. Pierwszy dzień rzeczywistej wiosny w Szkocji. Ponad gwar święconego, ponad szum pobliskiego morza, ponad dźwięczne odezwania się zegarów z kościelnych wieżyc—myśl, mimo straszliwego oddalenia, ulatuje do Ojczyzny. Do Polski. Chce zobaczyć—mimo wszystko — swoich najbliższych. Polską ruń i bazie na nadrzecznych wierzbach. Nie ma takiej runi i takich wierzb gdzie indziej. Nie ma.

Wawrzysiec Czereśniewski
rysunki Jana Sterlinga



Święcone w "Oerach"

Niedziela wielkanocna zapowiadała się od rana jako dzień chmurny i nieco mglisty, ale w późniejszych godzinach zwyciężyło wiosenne słońce i zapanowało niemal wszechwładnie nad świętującą Szkocją.

Kościół katolicki w miejscu postoju korpusowych "oerów" napełniony był tego ranka po brzegi: cały dywizjon, małe garnizony z sąsiednich wiosek, rodziny wojskowych ledwie się pomieściły w murach świątyni; wcisnęła się i spora garść Szkotów-katolików. Przed kościołem skupiały się jeszcze gromadki wiernych. "*Happy Easter*" oraz polskie: "Chrystus zmartwychwstał" — rozbrzmiewało dokoła.

Nastrój panował poważny, odświętny, ale . . . daleki od tego, w jakim przez lat tyle spędzaliśmy poranek wielkanocny w Kraju. Milczały dzwony rezurekcyjne, które w Polsce od wczesnego rana zwiastowały zwycięstwo Zbawiciela nad śmiercią i mocą szatana. Na tej wyspie jednak bicie w dzwony oznajmić ma mieszkańcom godzinę próby najcięższej—inwazję niemiecką. Później dopiero, kiedy szczęśliwie zakończą się zmagania, uderzą dzwony na triumf i zwycięstwo.

Rozpoczęła się msza święta. Z chóru spłynęła pieśń wielkanocna: "Wesoły nam dziś dzień nastał." Podchwycił ją kościół cały. Śpiewali żołnierze ze wzruszeniem, czasem ze łzą w oku tę pieśń radosną, pełną nadziei, łącząc się w duchu z tymi, którzy w ojczyźnie tego rana z wiarą niezłomną wielbili dzień radosny, choć smutek, tyrania i nędza wzięły przemoc nad narodem.



Dzielenie się jajkiem wielkanocnym

"Otrzyjcie już łzy płaczący" zabrzmiało znowu w świątyni.

Potem kazanie świąteczne nawołujące do wzmocnienia wiary w ostateczny triumf dobra nad złem i zmartwychwstania Polski i wreszcie na zakończenie nabożeństwa—uroczysta procesja. Dowódca dywizjonu i komendant miasta prowadzili ks. kapelana, niosącego monstrancję pod baldachimem podtrzymywanym przez czterech żołnierzy. Raz jeszcze popłynęła uroczysta melodia: "Wesoły nam dziś dzień nastał" i pochyliły się wszystkie głowy przed majestatem Zmartwychwstałego.

* * *

Na kwaterze dywizjonu ruch wielki zapanował po nabożeństwie. Wszystko było już przygotowane, to też po chwili wyrównanym szeregiem przed motorowym sprzętem stanęły delegacje szwadronów. Na stolikach przygotowane święcone, osobno dla każdego pododdziału. Wędliny, przyrządzone po polsku, placki, gomółki, pisanki pięknie malowane, baranki wielkanocne z niezwykłym kunsztem wykonane przez żołnierzy, a wszystko ozdobione proporczykami o barwach narodowych, i kawaleryjskiej broni. Wiele starań włożono w przygotowanie polskiego święconego, a szwadrony poszczególne rywalizowały zawzięcie na tym polu.

Przybywa dowódca "oeru" ze swoim zastępcą i ks. kapelanem. Następuje poświęcenie darów Bożych, zgodnie z polskim obyczajem. Krótkie życzenia księdza i znowu zalega cisza uroczysta: każdy składa teraz w myśli życzenia najbliższym, pozostałym w dalekiej ojczyźnie, dzieli się z rodziną święconym jajkiem wielkanocnym.

Święcenie ukończone; dowódca z zastępcą i kapelanem oddziału obchodzą kolejno delegacje składając życzenia. Za chwilę opróżnia się duży garaż. Delegaci śpieszą ze "święconem" do szwadronów, gdzie już dowódcy zasiedli do stołów z żołnierzami. Znowu krzyżują się życzenia: zdrowia, pogody ducha, wytrwania a nade wszystko powrotu, zwycięskiego powrotu do kraju. Powoli mija wzruszenie i wesoły gwar podnosić sie zaczyna—wiara zaczyna ucztę świąteczną, tu i ówdzie już śmiech rozbrzmiewa i pieśń polska niesie się echem po szkockiej ziemi, gdzie żołnierz polski z wiarą czeka na wielkie, radosne Zmartwychwstanie.

Ludwik Bojczuk

Poszukiwania

P. Hilary Malczewski ma w redakcji "Polski Walczącej" list do odebrania.

Poszukiwany jest P. Józef Basiński, który posiada krewnego P. Wiktora Basińskiego w Ameryce. Dla wspomnianego są do odebrania 2 listy z Ameryki w tym jeden wartościowy. Zgłoszenia proszę skierować pod adresem: Józef Basiński, P/77 G.P.O. Perth.

Inżynier Włodzimierz Otowski z Tarnowa, zwany przez przyjaciół Tunkiem poszukiwany przez matkę. Wiadomości proszę kierować na adres: Buenos Aires C. Paraguay 1142, Estanislada Bonin.

Przegląd polityczny

W Finlandii wylądowały wojska niemieckie. Dwie zmotoryzowane dywizje i "rezerwa lotnicza." Jednocześnie wzmogła się agitacja ukraińska, *którą skoncentrowano w Krakowie.* Przebywa tam "hetman" Skoropadzki, znany ze swej na wskróś germanofilskiej działalności w okresie poprzedniej wojny światowej. Wiadomości, jakie prasa anglo-amerykańska podaje zwracają uwagę na daleko idące plany, jakie Trzecia Rzesza żywi względem Litwy: mówi się o jakimś, bliżej nieokreślonym, organizowaniu rządu litewskiego w stolicy Niemiec.

Wszystko to wskazuje, że zbliża się rozstrzygająca godzina Rosji. Od początku wojny odnosiliśmy się z ogromnym powątpiewaniem do różnych opowieści moskiewsko-berlińskich na temat "wiecznej przyjaźni między dwoma stowarzyszonymi rządami" i w ogóle sielanki mołotowsko-ribbentropskiej. Jawne było, *że Niemcy starają się wygrać tylko na czasie i odosobnić narody, przeznaczone na zniszczenie.* Taką politykę stosował Hitler względem Czechosłowacji, Polski, Rumunii, Jugosławii. Taką samą grę przeprowadza dzisiaj, otaczając co raz to ciaśniejszą obręczą Turcję. I wreszcie, na znacznie większą skalę i bardziej metodycznie, *przygotowuje się Führer do ataku na Rosję* w dniu, który sam wybierze i z góry oznaczy.

Powodem marszu na Moskwę, będzie nie tylko Ukraina, o której Hitler wyraził się, iż stanowi ona "olbrzymi rezerwuar zbożowy, niezbędny dla Niemiec," nie tylko Kaukaz, z ogromnymi źródłami nafty i nie tylko basen morza Bałtyckiego oraz Czarnego, leżący w "życiowej strefie niemieckiej." Powodem wcześniejszego czy późniejszego konfliktu niemiecko-sowieckiego, *będzie różnica ustroju i obawa jakiejkolwiek konkurencji dla niemieckiej przewagi na kontynencie.* Cała, faszystowsko-nazistowska prasa podkreśla z naciskiem, że "organizacja Europy należy do nowych prądów odrodzeniowych, do włosko-niemieckich konstrukcyj polityczno-gospodarczych." W rzeczywistości należy w tej chwili do jednej, niemieckiej, która już dzisiaj zupełnie otwarcie wypowiada zdanie, że będzie porządkowała świat, według swoich własnych zasad i sposobów.

Führer wypełniał cały swój program, zawarty w "Mein Kampf" i niejednokrotnie podkreślano nieugiętą konsekwencję, z jaką ten człowiek przeprowadzał swoje pomysły. W "Mein Kampf" ziemie całej wschodniej Europy zostały określone jako tereny ekspansji niemieckiej. I dlatego można być przekonanym, że brunatny kanclerz prędzej czy później do tych pierwotnych swych założeń, zresztą z jego punktu widzenia, zupełnie konsekwentnych—powróci.

Na Rosji mści się już dzisiaj *niesłychane sekciarstwo polityczne jej kierowników.* Wypełniając testament Lenina i przychylając się do niektórych poglądów Trockiego—*towarzysze z Kominternu przyczynili się walnie do wywołania konfliktu światowego.* Pakt nieagresji z Niemcami, był zachętą dla Trzeciej Rzeszy do uderzenia na Polskę. Stalin widział już w swych marzeniach wyczerpaną do ostatka długą i ciężką walką Europę, skazaną na rewolucję społeczną, która ma się dokonać pod sztandarem sowieckiej Moskwy, nowej Mekki czerwonego proroka. Straszna pomyłka Kremlu polegała na tym, że *wojna dzisiejsza różni się zasadniczo od wojny* 1914-1918, *a kierunek lądowej ekspansji Niemiec jest aż nadto widoczny.* Zanik wojny okopowej i dywizje zmotoryzowane przekreśliły wszystkie, bardzo wyrafinowane, obliczenia Mołotowa.

Zabór polskich województw wschodnich był oczywiście, jeżeli chodzi o prawo międzynarodowe, zwyczajną zbrodnią, a dla nas ciosem, który dobił skrwawioną Polskę. Ale z rosyjskiego punktu widzenia, był czymś większym od zbrodni: *był błędem politycznym.* Czym była Polska dla Rosji? Państwem buforowym, dzielącym ją od bardzo niebezpiecznego sąsiada, jakim pod każdym względem są dla Sowietów Niemcy. O niepodległość i nienaruszalność granic polskich, powinni byli dbać kierownicy polityki rosyjskiej, w tym samym stopniu, w jakim Anglia dbała o Holandię, a Francja o Belgię lub Szwajcarię.

Dla Rosji niebezpieczeństwo polskie we Lwowie i Wilnie nie istniało. Społeczeństwo polskie odrzuciłoby kategorycznie wszelkie plany wspólnego z Niemcami marszu na Rosję—i nie było by rządu, któryby mógł takie plany przeforsować. Żywotne zagadnienia polskie przesuwały się co raz bardziej na Zachód, skąd groziło Rzeczypospolitej śmiertelne niebezpieczeństwo. *Ziemie wschodnie były i są dla Polski niezbędne, jako teren, związany nierozerwalnie z zagadnieniem obrony tego kręgosłupu naszego państwa, jaki stanowi dorzecze Wisły.* Natomiast dla Rosji są to kraje nie tylko zupełnie niepotrzebne, ale i w wysokim stopniu kłopotliwe, gdyż posiadanie ich wypacza zdrową, rosyjską myśl polityczną, która powinna iść drogą ekspansji wschodniej i obracać się koło najżywotniejszych problemów rosyjskich, jakimi są zagadnienia azjatyckie, Bliskiego i Dalekiego Wschodu.

Jeżeli Stalin miał złudzenia, że z chwilą zajęcia Wilna, Litwy i Lwowa, zniknie problem ukraiński czy litewski—*to dzisiaj już widać, że grubo się pomylił.* Agitację ukraińską robią Niemcy z Krakowa a litewską z Berlina. "Polskie niebezpieczeństwo" było wyimaginowane i rozdęte agitacją hitlerowską w Moskwie, natomiast niebezpieczeństwo niemieckie jest realne, i jak strasznie jeszcze realne!

W sytuacji, w jakiej znalazł się Stalin—pierwszym, jedynie rozsądnym krokiem politycznym, *byłaby całkowita zmiana polityki względem Polski i powrót do zasad Traktatu Ryskiego.* Było by to wyciągnięciem prostych konsekwencyj z faktu, *że silna, odrodzona Polska leży w żywotnym interesie jakiejkolwiej Rosji.*

Czy wymowa ostatnich wypadków trafi do przekonania towarzyszy na Kremlu? Niewiadomo. Odnosi się wrażenie, że w Moskwie ciągle jeszcze łudzą się możnością urzeczywistnienia "wielkiego wieczoru," który ma nadejść po drugiej wojnie światowej. *Powtóre boją się Niemców.* Wojna fińska wykazała, że Rosja jest państwem słabym, słabszym, aniżeli to przypuszczali najwięksi przeciwnicy sowieckiego reżimu. Mimo to jednak, pewne szanse stawiania oporu Hitlerowi na ogromnych obszarach od Oceanu Lodowatego aż po Morze Czarne i Kaspijskie, byłyby niewątpliwie. Ale czy zechce je wykorzystać rząd sowiecki? *W jakim stopniu łączy Stalin interesy ustroju z żywotnymi interesami Rosji?* Moskwa obawia się wojny, wszystko jedno zwycięskiej czy nieszczęśliwej, albowiem każda wojna wstrząsała by dyktatorskim ustrojem Rosji a dyktatura obecna przewyższa wszystkie inne pod względem zarówno bezwzględności jak i faktycznej słabości systemu. Stalin zbliża się do chwili, w której będzie miał do wyboru albo kapitulację, albo walkę. W roku 1918, w Brześciu nad Bugiem, wybrał Lenin kapitulację. Lecz wówczas sytuacja międzynarodowa przedstawiała się zupełnie inaczej. Jaką drogę wybierze jego następca?

Wojska niemieckie są w Finlandii. Jednocześnie agenci Hitlera wywołują zaburzenia w Iraku, chcąc otoczyć Turcję i doprowadzić dywizje motorowe Hitlera do granic Kaukazu. Ale nie jest to jeszcze wojna z Rosją. Na razie Führer szachuje Stalina, grożąc z jednej strony Leningradowi, z drugiej źródłom nafty w Baku, których opanowanie byłoby nie początkiem końca, lecz w ogóle końcem Rosji: nie ruszyłby ani jeden traktor, ani jeden czołg, nie wzniósłby się w powietrze ani jeden samolot. Wie o tym Stalin —i dla dodania ducha urządza największą w dziejach Rosji paradę armii sowieckiej na Placu Czerwonym w Moskwie. Czy są tu analogie do tej największej rewii wojskowej, która odbyła się w Paryżu, 14 lipca 1939 roku na sześć tygodni przed wojną? Okaże to najbliższa może przyszłość.

Sytuacja międzynarodowa jest poważna, bardzo poważna, ale z naszego, polskiego punktu widzenia—nie jest wcale zła. Wojna wybuchła z powodu ataku na Polskę. Ale nie wybuchła ona z powodu Polski. *Mocarstwa zachodnie wystąpiły w obronie równowagi europejskiej, której głównym czynnikiem była Rzeczpospolita, państwo, położone w samym środku nie tylko geograficznych, ale i politycznych tudzież gospodarczych zagadnień europejskich.* Dzisiaj ta pożoga wojny ogarnia cały Świat. I jeżeli zdrowy rozum jest na prawdę udziałem ludzkości —to musi ona przyjść do wniosku, płynącego z okupacji Francji, z ruin Belgradu i zmotoryzowanych dywizyj niemieckich w Atenach: *Polska jest i musi być czynnikiem pokoju i bezpieczeństwa świata.* Bez silnej Polski wszystkie projekty uporządkowania stosunków europejskich i trwałego pokoju są bezprzedmiotowe a dyskusja nad nimi jest niepotrzebnym traceniem czasu.

tk

SPIS RZECZY.

Wojna na morzu

Wojna roztrzygnie się na morzu, bo ocean w czasach obecnych jest jedynym traktem łączącym Amerykę ze "Starym Światem," bo rozległość teatrów wojny i niezmierna ilość koniecznych do jej prowadzenia surowców wymagają połączeń żywotnych i ciągłych, których jeszcze jedynie morze dostarczyć potrafi, bo panowanie na morzu albo daje te surowce, albo uniemożliwia ich dostawę. To też zwycięstwo takie czy inne, jeszcze jedno i jeszcze parę, prawdziwego położenia nie zmieni i dotąd, dopóki "fortèca morska" Wielkiej Brytanii trwa, a potęga jej na morzu jest nienaruszona (przeciwnie zwiększona!)—dotąd z ufnością patrzeć możemy w przyszłość i nie wolno nam się poddawać nawet chwilowym uczuciom przygnębienia z powodu takich czy innych niepowodzeń.

W świetle tego rozumowania widzimy wyraźnie, jak niesłychanie ważny jest rezultat "bitwy o Atlantyk" i dla czego cała uwaga brytyjska jest skierowana przede wszystkim na rezultaty tej bitwy, dla czego nawet wielkie zmagania na lądzie są jakby na drugim planie. Z obu stron przedziwna bitwa, na którą składają się czyny bohaterskie i czyny podłe, korsarstwo, pirateria i polowanie, jak na dzikiego zwierza, prowadzona jest w sposób bezwzględny, choć (jak zawsze u Brytyjczyków) jest wiele czynów świadczących o rycerskości i ludzkim poczuciu miłosierdzia. Dwaj najwięksi piraci podwodni Niemiec—kapitan Otto Kretschmer i kapitan Schepke w ślad za "pogromcą Royal Oak" komandorem Prien, przestali być groźni. Kapitan Kretschmer został wzięty do niewoli po zatopieniu jego ogrętu podwodnego, a kapitan Schepke zginął wraz ze swym okrętem "U 100."

—Z górą 2,500,000 tonn okrętów niemieckich zostało zdobytych, zniszczonych lub zmuszonych do zatopienia się—oświadczył w dniu 21 kwietnia Pierwszy Lord Admiralicji Angielskiej Sir A. V. Alexander—Wielka bitwa o Atlantyk ma chwile triumfów i chwile niepowodzeń, lecz mogę Panów zapewnić, że nie wiele nieprzyjacielskich okrętów podwodnych i nie wiele samolotów dalekiego zasięgu może powrócić do swoich baz.

W dalszym ciągu, powoli, lecz stale "zdobywamy teren" na oceanie, stając się co raz bardziej panami położenia. Dzieje się to przy ścisłej współpracy Floty z Dowództwem Wybrzeża, a wzrastająca skala powodzeń eskortujących kontrtorpedowców i korwet daje podstawę do twierdzenia, że "Bitwa o Atlantyk" zmierza w kierunku dla nas dodatnim.

— W obecnej bitwie-mówił dalej Pierwszy Lord Admiralicji-spełniamy sami, wraz z małymi flotami sprzymierzonych, tę samą pracę, która w zeszłej wojnie rozkładała się na barki 3 najpotężniejszych flot świata. Mamy na morzu obecnie setki tysięcy tonn nowych okrętów, które rozpoczęły pływanie po wojnie, bądź to w ogóle zostały wybudowane w tym okresie. Ale trzeba jeszcze więcej. Musimy bez ustanku dostarczać Flocie Wojennej i Flocie Handlowej okrętów, statków dział i samolotów.

To wielkie zadanie, podkreślone przez Sir Alexandra, spełnia już teraz, oprócz stoczni i fabryk brytyjskich i kanadyjskich, cały olbrzymi przemysł amerykański. Strumień pomocy amerykańskiej niebawem zamieni się w lawinę. Samoloty przylatują ze Stanów Zjednoczonych, statki płyną całymi flotyllami, ale Ameryka dla tych celów uruchomiła swoją siłę przewozową na morzu łącznie z flotą wojenną do ochrony jako "patrole neutralności." Konfiskata statków "osi," zajęcie Grenlandii, wyruszenie statków amerykańskich na Morze Czerwone—to jedynie fragmenty pomocy. Wobec jej wzrastającego ogromu zajęcie kilkudziesięciu statków francuskich przez Niemcy jest drobiazgiem, który nie jest przyjemny z innych względów, lecz nie ma zasadniczego znaczenia.

Tak wygląda "Bitwa o Atlantyk" w ogólnych zarysach. W obecnym stadium rozwój jej jest raczej pomyślny. Oczywiście "gdzie drwa rąbią tam i wióry lecą," a taki wiór potrafi i oko zaprószyć. Polscy marynarze szczególnie przykro odczuli stratę (od torpedy) brytyjskiego krążownika H.M.S. "Bonaventure" (Klasa "Dido"-5,450 tonn, 10 dział 5,25 calowych i 16 mniejszych, szybkość 33 węzły), z którym nasze kontrtorpedowce przeżyły nie jedną chwilę. Również w ostatnich dniach zatonął "krążownik pomocniczy" (również od torpedy) "Rajputana" (b. statek pasażerski na linii indyjskiej—16,644 tonn).

Ale zato w tym samym czasie wszedł to służby nowy potężny okręt liniowy, rodzony braciszek H.M.S. "King'a Georg'a" V—H.M.S. "Prince of Wales" (oba okręty po 35,000 tonn, 10 dział 14 calowych, 16 dział 5,25 calowych 4 pompomy i wiele innych mniejszych dział; szybkość 30 węzłów) a jednocześnie Ameryka nadesłała całą flotyllę potężnych ścigaczy (w pierwszej partii 20 sztuk), zwanych popularnie "mosquitos" (według danych dziennikarskich ścigacze te rozwinąć mogą szybkość do 60 węzłów i uzbrojone są w 4 wyrzutnie torpedowe (18 calowe). Długość takiej łodzi ma wynosić 70 stóp). (Jedno z pism polskich napisało, że . . . łodzie te pędzą z szybkością "1 mili na sekundę." 3600 mil na godzinę! Pismo to powinno opatentować ten wynalazek.)

Fale krytyk i zarzutów przeciw *Royal Navy* wzbudził fakt przedostania się tak wielkiej ilości wojska niemieckiego i sprzętu z Sycylii do Libii. Istotnie, 4 dywizje pancerne to nie zapałka! Ale sprawa ta w ogóle przedstawia się bardzo tajemniczo. Wszystkie dane wskazują na to, że Gubernator Tunisu i straże francuskie przybrzeżne będą, może w nie długim czasie, mogły o tej sprawie dużo powiedzieć. Fakt jest faktem, że wojska te pojawiły się w Libii nagle i, że flota brytyjska tym transportom nie przeszkodziła. W tej wojnie przeciw gangsterom i zbrodniarzom brytyjskie poszanowanie prawa i brytyjska lojalność wobec "stron niewalczących" raz jeszcze przyniosły szkodę w sensie efektywu, bo nie w sensie moralnym, który, w końcu zadecyduje o wszystkim.

Flota Morza Śródziemnego zbombardowała miasto i port Tripolis. Przez 50 minut lawina żelaza z dział największego kalibru brytyjskich okrętów liniowych spadała na nieszczęsny port, miasto i statki, zgromadzone w porcie. W spotkaniu pod Sycylią zatopiono ogromny transport z benzyną, amunicją i tankami, zginęło 5 włoskich statków transportowych i zatonęły 3 włoskie kontrtorpedowce (niestety również brytyjski kontrtorpedowiec H.M.S. "Mohawk"). Flota brytyjska dokonała olbrzymiej ewakuacji 48.000 wojsk brytyjskich z Grecji. Wysiłek ten był nie mniej wielką operacją morską niż Dunkierka, a jej wyniki są dowodem niezwykle wysokiej dyscypliny i umiejętności marynarzy brytyjskich i greckich.

"Niedowiarki," zanadto przejęci chwilowymi sukcesami Hitlera na Bałkanach, przekonają się, że bitwa pod przylądkiem Matapan i zniszczenie floty włoskiej będą w skutkach tak samo brzemienne, jak bitwa pod Abukirem. Historia uczy, ale uczy tylko rozsądnych i przewidujących, oraz umiejących wyciągnąć *nowe* wnioski ze starych zdarzeń.

Londyn 3 maja 1941.

Bohdan Pawłowicz

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. V-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: Pierwsza strona—1 cal przez jeden łam—sh.13 4d. Pozostałe strony—1 cal przez jeden łam—sh.6 4d. Drobne ogłoszenia—1 cal przez jeden łam—sh.5, pół cala przez 1 łam —sh.2 6d.

Adres Administracji (Business Offices): 5, Portugal Street, W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 415, Oxford Street, W.1. Tel., MAYfair 4973.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.